

# Mtode ptaki

*opowieść new adult*



Marcin Haba

*Marcin Haba*

# *Mtode ptaki*

NIEBO  
Bytom 2023

SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI

Beata Haba

REDAKCJA I KOREKTA

Beata Haba

WYDAWCA

Niebo

niebo@niebo.biz

www.niebo.biz

Copyright © Marcin Haba, 2023

ISBN 978-83-947816-7-5

WYDANIE PIERWSZE



Ten utwór udostępniony jest na licencji Creative Commons  
Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.  
Treść niniejszej licencji dostępna jest na stronie

<https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/deed.pl>

# Młode ptaki



Strona internetowa „Młodych ptaków”

**[mlodeptaki.pl](http://mlodeptaki.pl)**

# Rozdział 1

## *Trwanie*

**Z**e wszystkich rzeczy, jakie są na świecie, najbardziej nie lubiłam dwóch: grzanek w zupie i tego, gdy Karo mówiła, że coś dupy nie urywa. Z pierwszym jakoś sobie radziłam, bo wystarczyło nie jeść, z Karo natomiast było trudniej, gdy swoim zwyczajem z pełną ekspresją wyrzucała z siebie to głupie powiedzonko, kładąc przy tym tłustą emfazę na słowo „dupa”. Wiedziała, że mnie to wkurza, szczególnie gdy odnosiło się to do mnie czy czegoś mojego. Miałam wrażenie, że robiła to na przekór, aby mi trochę nerw podkręcić. Ludzie niestety tacy są,

już to trochę poznałam, że jak znajdą w tobie coś, co cię denerwuje, to sobie na tym używają. Coś jak duży czerwony guzik gdzieś w człowieku z napisem „Nie naciskać”, do którego mają łatwy dostęp, sięgają i przyciskają, gdy tylko im się zachce. To takie chore, trąci mi nawet sadyzmem. Zresztą, nieważne.

Siedzieliśmy razem z Karo na niewielkim wzniesieniu, takiej niby sobie górcie-niegórcie. Lokalni nazywają ją „Paszewo”. Stąd świetnie było widać miasto, rozpościerał się widok na całą panoramę, nad którą tamtego dnia zapadał już powoli zmrok. Siedząc na trawie i pociągając z butelek piwo, czułyśmy się szczęśliwe. Dwie kumpele w tym samym wieku, z tej samej szkolnej ławki i prawie tak samo zakręcone na punkcie ZeroMilo i innych rockowych zespołów. To, co liczyło się najbardziej, to właśnie poziom zakręcenia, odjechania i tego, aby jak najwięcej czuć było w tym sobie. Im mocniej odnajdywałam w nich to, co miałam na co dzień, tym lepiej. A trzeba było przyznać, że ZeroMilo była mistrzynią odjechania. Jej teksty, muzykę i styl traktowałam jak miernik własnego poziomu zbzikowania i w pewnym sensie też miernik samej siebie. W każdym ra-

zie z której strony by nie patrzeć, byliśmy do siebie bardzo podobne.

– Jest trochę inne, nie? – rzuciłam, wskazując na trzymaną w dłoni butelkę.

– Co? Browar? – Karo zapytała niepewnie.

– Tak. Smakuje inaczej.

– Noo – zaśmiała się. – Tak chyba smakuje dorosłość. Przywyknij.

To prawda, że to było nasze pierwsze piwo „na legalu”. Kilka dni temu skończyliśmy osiemnaście lat, najpierw ona, a następnego dnia ja. Weszliśmy w magiczną strefę bycia dorosłymi, przynajmniej jeżeli chodzi o wiek. Marzenie wszystkich nastolatek, poczuć w sobie tą nutę powagi, że dorośli przestaną cię traktować jak gówniarza, a zaczną patrzeć na ciebie bardziej serio. Jakby człowiek wstępował do tej samej drużyny, gdzie już nikt nie patrzy z góry, ale raczej staje obok, jak równy z równym. To było coś.

Same nie wiedziałyśmy, czego się po tym spodziewać. Jedno, co nas przepełniało, to szalona radość i po trochu duma. Zawsze to jakiś etap w życiu, jeden z tych wyjątkowych, jakich nigdy nie było i już nigdy nie będzie. ZeroMilo w jednym z wywiadów mówiła, że takie momenty są jak puszczane na wodzie papierowe statki, które

niesione wiatrem zaczynają swą podróż, płyną gdzieś i już nigdy nie wracają. Gdzie poniesie mój statek? Nie wiem. Wiem natomiast, że gdziekolwiek by to nie było, chciałabym pozostać taką, jak teraz. Tego jednego nie chciałabym stracić, stracić samej siebie. Nie chciałabym stać się jak... Spojrzałam w dół na miasto w stronę ulicy Remontowej. Tam właśnie mieszkałam, tam był mój dom. Nawet z tej odległości potrafiłam dostrzec jego okna. Na trzecim piętrze niewielkiego bloku mieściły się cztery ściany mojego pokoju. U taty paliło się światło.

– Jaga? – zapytała Karo.

– Tak?

– Posmutniałaś.

Spojrzałam jeszcze raz w stronę domu. Po-tem przechyliłam butelkę i pociągnęłam solidnego łyka.

– Może trochę. Nieważne.

– Dziś wszystko jest ważne – spojrzała za mną na bloki. – Nie myśl – dodała.

– Nie myślę.

– Kiedyś stąd wyjedziemy, zobaczysz. Takie miasteczka nie są dla nas.

Spojrzałam na Karo. Jej duże, ładne oczy błyszczały lekko w wieczornych światłach



miasta. Miała w sobie zawsze dużo pozytywu, którym zarażała wszystkich wokoło. Sama nie wiem, skąd go brała, ale posiadała go w sobie niezliczone pokłady. Nieraz mnie nim ratowała, jak w tamtym momencie, zupełnie jak gdyby miała zdolność wychwytywania złych chwil, wyczuwania ich, zanim jeszcze nadejdą.

– Chciałabym wyjechać – westchnęłam.

– Wyjedziesz – machnęła ręką w powietrzu. – Wszyscy wyjedziemy.

– Obiecujesz? – uśmiechnęłam się.

– Masz to u mnie. Normalnie, masz to – wskazała palcem w moją stronę. – A jak nie, to ci nakopię do tyłka. Zobaczysz. A potem sama cię stąd za fraki wyciągnę.

– Fajnie. Bo to ostatnia rzecz, jaką bym chciała, zgnić tu – ruchem głowy pokazałam w stronę miasta.

– Co planujesz po wyjeździe?

To było bardzo dobre pytanie. Jedne z pytań-kluczy, które otwierają w głowie magiczną szkatułkę z napisem „marzenia”. Czy coś planowałam? Oczywiście, że tak. Miałam głowę pełną planów, skrupulatnie przygotowanych, jakby to miało stać się już dzisiaj. Niektóre z nich tak szalone, że na samą myśl ścinało

mnie coś w żołądku. Na pewno chciałabym zaliczyć Paryż, to miasto kręciło mnie prawie od zawsze. Wjechać na samą górę wieży Eiffla i tam się wykrzyczeć, ile tylko wlezie. Albo poznać jakiegoś faceta równie zbzikowanego jak ja, albo jeszcze bardziej i zjechać z nim na stopa pół kraju. Takich pomysłów miałam dużo. Na sam ich koniec zostawiłam jedno, bardziej poważne marzenie, aby otworzyć schronisko dla zwierząt. Może razem z tym samym facetem od stopa zapuścić tam swoje korzenie, zarzucić życiową kotwicę i zostać tak już do końca, na zawsze.

– Nie wiem, Karo. Mam dużo myśli w głowie – odparłam.

– To dobrze. Trzymaj je. Ja chciałabym malować obrazy i je sprzedawać gdzieś w galeriach. No wiesz, zostać malarką, może nawet sławną – zaśmiała się, a zaraz niemal krzyknęła. – Patrz! Gwiazda spada! – wskazała dłonią wysoko na niebo.

Popatrzyłam w tamtą stronę. Faktycznie, coś się tam poruszało.

– Eee, to chyba tylko samolot.

– Nie, to gwiazda, mówię ci. Szybko, myśl życzenie.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Zmrużyłam oczy, wciąż patrząc na światło i rzekłam:

– Dobra, mam. A ty?

– Ja też – kiwnęła głową. – Zobacz, pojawiła się jak na zamówienie. I to w chwili, gdy gadałyśmy o planach. Lubię takie akcje – zaśmiała się, po czym zapytała. – Co pomyślałaś?

Pociągnęłam łyk z butelki. W głowie już mi trochę wirowało od piwa. Co jak co, ale do alkoholu nie miałam mocnej głowy. Karo zresztą też już chyba miała dość. Sięgnęłam do leżącego obok mnie plecaka i wyciągnęłam notes.

– Pokażę ci coś.

Przewróciłam kilka kartek i zatrzymałam się na jednej z nich.

– Masz. Czytaj – podałam jej notes.

– Co to?

– Wiersz. Napisałam go wczoraj.

Karo przebiegła wzrokiem kartkę z góry do dołu i zaczęła czytać na głos:

*W pokoju siedzę sama  
Ściana, ściana i ściana też  
Trwam w miejscu  
Przykuta łańcuchem do obecnej chwili  
Przybita do krzyża dnia dzisiejszego  
Związana setką myśli równie głupich  
Co perspektywa następnego tygodnia*

*W moim pokoju  
Światło walczy z ciemnością  
Czyli tak jak w życiu  
Z ukosa patrzę na jutro  
Nieufnie jakbym patrzyła na ciebie  
Trwam w tej chwili  
W miejscu gdzie ściana, ściana i ściana też*

*W moim pokoju  
Przetrwąć, przeczekać, być  
Więc jestem tu gdzie ściana, ściana i ściana też  
Gasnę co chwilę, gubię wspomnienia  
W miejscu realnym, do miejsca wbita  
Trwam bo tylko to mi zostało  
Czekam, stygnę, zasypiam*

*Jutro nie będę musiała już trwać? Proszę...*

Skończyła czytać. Przebiegła wzrokiem jeszcze raz po tekście.

– Noo, duuupyyy nie urywa.

Zacisnęłam mocno zęby, tak mocno, że aż mnie zabolęło. Wyrwałam jej z rąk notes i cisnęłam z powrotem do plecaka.

– Nie no, żartuję. Jaga, co ty? To jest piękne! Nie chmurz się, serio. Podoba mi się.

– Chrzań się.

– No serio, mówię ci – złapała mnie za dłoń i całkiem spoważniała. – Przepraszam.

Pokiwałam głową na znak zgody, jednak w ciele wciąż czułam złość.

– To jest właśnie moje życzenie – rzekłam – że chcę żyć, a nie trwać. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała, choć w tamtej chwili nie wyglądała na taką, która rozumie.

– Tego jednego chcę od życia, aby się poruszało do przodu, aby żyć, zaciągać się życiem, odczuwać go całą sobą. Bo jak nie idziesz do przodu, to stoisz w miejscu. Stagnacja, trwasz tylko, realizujesz plan minimum, mąż, dziecko, praca, dom i tak do zrzygania. Ja tak nie chcę.

Spojrzałam raz jeszcze na Karo. Patrzyła mi w oczy, zupełnie tak, jakby coś w nich dostrzegła, coś niepokojącego. Przez chwilę brzmiała cisza.

– To dlatego tak cię ciągnie do ZeroMilo – odezwała się wreszcie. – Jak w tej jej piosence „Otwórz oczy, skocz i płyń”.

– „Czarna noc, ja i ty, moja różo, skocz... i płyń...” – zaczęłyśmy nucić razem słowa piosenki. Przez moment poczułam się naprawdę dobrze, jakby łączyło nas coś ważnego, takie wspólne uczucie i przeżywanie. Nie wiem, jak to się stało, ale tamten wieczór zostawił coś w nas trwalszego, niż wspólne śpiewanie. Może to przez te osiemnaście lat, może przez alkohol, a może przez to, że gdy tak dobrze się bawiłyśmy przy tekstach ZeroMilo, Karo powiedziała na koniec:

– Chciałabym, byśmy ten moment zapamiętały, to tu i teraz. Tak, aby móc do tego wracać za kilka lat czy więcej – Karo spoważniała. – Jaga, słuchaj, ten moment jest ważny, aby go mieć tutaj – wskazała na swą skroń. – bo gdy coś się posypie i będzie źle, chciałabym, abyś to pamiętała, że siedziałyśmy tu kiedyś, pociągały piwko, śpiewały i były takie szczęśliwe. Tego nikt nam nie wyrwie, ten moment jest nasz.

Za to chyba lubiłam ją najbardziej, że łapała takie momenty i potrafiła z nimi zrobić coś nie-

zwykłego, jak wtedy na górcie „Paszewo”. Tak w jednej chwili nadać im „magii”. Nie mówiłyśmy już po tym prawie nic, uściskałam ją tylko mocno, tak zwyczajnie bez słowa, czując w tym jedność, jakbym przytulała własną siostrę. Po tym zebrałyśmy się do kupy i leniwie powłóczyłyśmy się w dół w stronę domów.

W domu nie było już tak słodko. „Cukiereczki się skończyły” – powtarzałam w kółko w myślach – „Cukiereczki się skończyły”. To była jedyna myśl, której się trzymałam, jak silnego drzewa w czasie huraganu. A w istocie, to był huragan. Ojciec jechał po mnie nie przebiegając w słowach, bo poczuł alkohol, bo już po dwudziestej drugiej, bo znowu mam gdzieś jego zalecenia, bo nie tak swoją córcię wychował. „Cukiereczki się skończyły”. Słowa wlewały się wprost do głowy, jakby ktoś podłączył mi do niej gumowy wąż i tłoczył przez niego najgorsze szambo.

Biegałam wzrokiem tam i z powrotem, to sufit, to znowu podłoga. Czekałam tylko, kiedy skończy, kiedy zamilknie, lecz on się dopiero rozkręcał. Na końcu jest zawsze najgorzej, bo wtedy sypią się kary. Kieszonkowe? A proszę.

Poradzę sobie. Komputer? Też jakoś przeżyję. To jest naprawdę wielka sztuka, tak sobie myślę, że osiemnastolatce zabrania się tych rzeczy. W głowie już mi przebierało, że przelewało się nawet uszami. Potem usłyszałam, że do dorosłości mi jeszcze daleko i że zachowuję się jak jakieś szczenię. Możliwe, że tak, w tym chyba miał rację, z tym że w odróżnieniu od niego szczeniaki są bardzo miłe.

– Rozumiesz?! – wrzasnął na koniec. – Rozumiesz?!

Nie wiem, czy to przez alkohol, czy przez zapomnienie, odparłam tylko:

– Cukiereczki się skończyły.

Bam. Głowa lekko odskoczyła, a policzek zapiekł od gorąca. Nie chciałam w tamtej chwili na niego już patrzeć. Oboje wiedzieliśmy, że na dziś to już koniec, jak taka kropka na końcu zdania czy raczej wykrzyknik. Odwróciłam się i bez słowa skierowałam się do swojego pokoju.

Czasem tak robił, gdy go lekceważyłam. Bo jemu wolno, bo jest moim tatą. Zupełnie jakby miał monopol na moje szczęście, że jedynie on wie, co dla mnie dobre i nikt inny więcej. Nie miałam ochoty już myśleć o tym dłużej. Tak jak stałam, padłam bezwładnie na łóżko



i wtuliłam twarz w poduszkę. W głowie jeszcze coś tam huczało, przebijały wspomnienia sprzed chwili. Myślami byłam już jednak daleko, gdzieś na jakiejś sali koncertowej. Dziesiątki reflektorowych świateł błyskało we wszystkie strony. Znów robiło mi się przyjemnie, prawie tak samo, jak jeszcze godzinę temu z Karo. Zasnęłam kilka chwil potem.

## Rozdział 2

### *Szkota*

**N**a przerwie między matką a francuskim zaczęła mnie Kinia, moja przyszywana koleżanka z tej samej klasy. Mówię „przyszywana”, gdyż nasza relacja była w znacznej mierze jednostronna. Przyczepiła się do mnie już w pierwszej klasie liceum, niby wyczuwając jakąś bratnią duszę i tak już została do teraz. Z drugiej strony ludzie z klasy od razu wyczuili w niej model „ofiary losu”, której trzeba na swój sposób dołożyć do życia, jakby miała tego mało. Może właśnie ze względu na to, że było mi jej szkoda, a może dlatego, że sama jej nie dokładałam, przykleiła się do mnie.

Z jednej strony była w porządku, dało się dogadać i można było na nią liczyć. Z drugiej natomiast przez okazywanie jej zainteresowania powierzała mi wiele swoich problemów i sekretów, których nie zawsze chciałam być powierniczką. Wiedziałam jednak, że nikt inny jej nie wysłucha, a ona sama też nikomu innemu tego nie powie. Patrząc tak zdroworoządkowo, jak normalnie postępują ludzie, powinnam być wobec niej szczerą i wyklarować bardziej naszą relację, lecz zawsze odruch serca brał u mnie górę. Nie kopie się leżącego.

Gdy podeszła do mnie na korytarzu i zobaczyłam jej zatroskaną minę, wiedziałam, że zapowiada się jedna z takich „ciężkich” sesji. Wyglądała na przepełnioną jakimś bólem do granic, jakby ją miało rozsadzać od środka. Nie, Kinia, tylko nie to. Po wczorajszej akcji z tatą nie miałam zupełnie ochoty brać jeszcze cierpienia innych na siebie. Kinia, tylko nie to, nie ty, nie dzisiaj. Odejdź. Zaczęłam się denerwować. Nie jestem zlewem, Kinia, do którego można wylewać smutne ścieki z życia. Nie pakuj tego dziś we mnie, proszę cię. Błagam.

– Jaga? Masz chwilę?

Już miałam coś jej odpyskować, krzyknąć nawet na nią i tylko w ostatniej chwili się powstrzymałam. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam zupełnie spokojnie:

– Tak, Kinia?

– Potrzebuję pogadać.

Wyszliśmy na dziedziniec i usiadłyśmy na ławce. Słońce tego dnia rozlewało się blaskiem po placu. Gdy tylko usiadła i spojrzała mi w oczy, po jej policzkach popłynęły ciężkie łzy. Nic nie mówiła, po prostu się rozpłakała. Nie myśląc więcej, nachyliłam się i ją przytuliłam.

– Co jest, Kinia? Co się stało?

Położyła głowę na moim ramieniu i cicho płakała. Tego spotkania Kinia nic nie powiedziała. Dziś jej historię opowiadały mi jej łzy. Nie wiedziałam, jak mogę jej pomóc, widziałam tylko, jak cierpi, że coś się z niej bolesnego wylewa. Nigdy do tej pory tego nie robiła, czułam, że stało się coś złego.

– Kinia, co jest?

Niektórzy uczniowie, przechodząc, przyglądali się nam, czasem nawet ktoś głupio skomentował. Nie dbałam o nich. Siedziałyśmy tak do dzwonka końcowego. Gdy rozbrzmiał,

podniosła głowę i znów mi się przyjrzała. Nie wyglądała dobrze, miała smutną minę i zaczerwienione oczy.

– Chcesz pogadać? – podałam jej chusteczkę.

– Nie – odparła od razu.

– Nie ma sprawy – rzekłam.

Wytarła oczy, a potem nos.

– Jaga?

– No?

– Nie lubię życia – szepnęła, ocierając powieki.

– Co? – zapytałam.

– Tak po prostu nie lubię życia.

– Jak to?

– Nic – zmieszała się. – Przepraszam. Dzięki.

Na tym skończyła się nasza rozmowa i całe nasze spotkanie. Było dziwne, faktycznie dziwne, porównując je z wszystkimi innymi, w których chociaż mówiła, o co chodzi. Co ją trapiło? Na pewno coś trudnego. Zastanawiałam się nad tym intensywnie przez większość francuskiego, aż Karo zauważyła, że nie śledzę lekcji.

– Wszystko OK? – zagadnęła na kolejnej przerwie. – Jesteś jakaś taka nieobecna.

– Tak, jest wporzo – uspokoiliam.

– Zobacz. Szpila znowu dojeżdża pierwszaków.

Po drugiej stronie korytarza stała Szpila i Lucjusz. To taka szalona para z klasy wyższej, czyli maturalnej. Wszyscy tu znają ich i to znają aż nadto. Ona, wielka i silna znawczyni życia, co to „gdzie nie była, co brała i co piła”, a on taki mięśniak-arogancik, nic ciekawego. Spasowali się na cacy, trzeba przyznać, że lepiej nie mogli trafić, jakby przyciągał swój swojego. Gdy przechadzali się korytarzem, najtrudniej miały pierwszaki, bo ich to właśnie zagadywali. Mieliśmy wrzesień, dwa tygodnie po rozpoczęciu roku, więc „świeżaków” było całkiem sporo.

– O, proszę państwa. Nowy narybek – wołał Lucjusz. – Witamy w II LO imienia Gienia z Lichenia.

– Uśmiech, maluchy. Buzie do góry – dokaazywała Szpila.

Przypatrywałyśmy się z Karo, jak tamci się wygłupiają. To naprawdę były szajbusy. Co prawda nieszkodliwe, bo nikt nikomu nic fizycznie nie robił, jednak pierwszaki na pewno czuły się nieswojo. Sama się tak czułam, gdy zaczynałam tu szkołę. Gorsze w tym było to, że część osób z innych klas dopingowała tych

dwojga, wywołując przy tym głupie komentarze i głośne salwy śmiechu.

Znałam ich trochę, nie kumplowaliśmy się rzecz jasna, ale byliśmy mniej więcej na „cześć” tylko. Czasem coś zagadali na korytarzu, albo kiedy trafiłam Szpilę w szkolnym kiblu. Raczej to była znajomość na dystans, rozmowy o niczym, płytkie mniej więcej jak sruty-pierduty.

– Ehh, znowu oni – westchnęła Karo.

– Nasi fatalni kochankowie – zaśmiałam się.

Szpila odwróciła do nas głowę, jakby nas usłyszała. Uśmiechnęła się szeroko i ruszyła w naszą stronę. O nie, tylko nie ona.

– O, nasza kochana Jagusia – wypiszczczała z siebie. – I Karo we własnej osobie.

– Cześć – próbowałam wykrzesać z siebie uśmiech.

Kątem oka zauważyłam, że Karo chciała się już ewakuować. Sama najchętniej bym też to zrobiła. Szpila w tym czasie pokazowo zaciągnęła się przez nos powietrzem.

– Czujecie zapach morza? – zapytała Szpila.

– Nie – odparła Karo. – A co?

– Bo tu tyle mięczaków dokoła – wskazała na klasę pierwszaków i wybuchnęła śmiechem.

Gdy się trochę uspokoiła, zapytałam:

– Dobrze się bawisz, co?

– No, przyznaję, nie najgorzej – odpowiedziała Szpila. – Słyszałaś? ZeroMilo będzie grać w Tombruku.

Na te słowa machnęłam ręką w powietrzu na znak rezygnacji.

– Jasne, wiem. To część jej tegorocznej trasy. Niestety, bilety są nieosiągalne, zresztą podobno nigdy nie były dostępne, bo „ATOM” to mały klub i rozprowadził je prawie wszystkie tylko wśród znajomych.

W tej chwili podszedł do nas Lucjusz. Przywitał się wymownym skinieniem głowy.

– To prawda – rzekła Szpila. – Ale coś Magmus wspominał, że chce odsprzedać dwa swoje.

– No, Magmus nie może jechać – przyznał Lucjusz.

– Ooo! – wydusiłam tylko z siebie. Zamurowało mnie, a w głowie silne emocje wystrzeliły jak fajerwerki. – Kto to jest?!

Szpila wzruszyła ramionami.

– Mój kuzyn – wyjaśniła. – A co?

Chciałam ją szybko złapać za koszulkę i potrząsnąć, aby mi dała namiar na Magmusa. Co jak co, ale tak blisko ZeroMilo jeszcze nie byłam. W tej sytuacji ani tata, ani nikt inny nie



mógł powstrzymać mnie od nagłej decyzji. Serce zaczęło pracować szybciej, a dłonie stały się w jednej chwili wilgotne.

– Kupię te bilety. Możesz zadzwonić do niego? – próbowałam się opanować.

Na twarzy Szpili znów pojawił się uśmiech. Położyła mi rękę na ramieniu i rzekła:

– No, dobra. Mogę to załatwić dla ciebie. To będzie jakieś dwie stowy za bilet, o ile dobrze pamiętam.

– Stoi – odpowiedziałam od razu.

Nie dowierzając, co się stało, odwróciłam głowę do Karo. Chciałam zobaczyć na jej twarzy radość, że właśnie załatwiłam nam bilety na ZeroMilo. Chciałam podzielić tą radość na dwoje, jednak w wyrazie twarzy Karo nie zobaczyłam uśmiechu. Nie wiem nawet, co zobaczyłam, ale entuzjazmu w tym nie było wcale. Raczej dało się czytać obawę czy smutek. Coś chciała mi przez to powiedzieć, lecz w tamtej chwili nie umiałam nic z tego wyczytać.

– Dam ci jutro kasę – rzekłam.

Szpila pokiwała palcem wskazującym na boki.

– Nie, nie, droga. Załatw to bezpośrednio z Magmausem. Ja ci bilety zarezerwuję, zrobię

to dla ciebie, ale zapłacisz i odbierzesz je osobiście.

– Jasne. Zgoda.

– To fajnie, bo w piątek robię imprezę-domówkę. Wpadnij do nas wieczorem, to poznasz Magmusa.

O, domówka. Tego się nie spodziewałam. Próbowалам jak najszybciej pozbiierać rozjechane myśli.

– Nooo, dobra – odpowiedziałam już nieco mniej pewnie.

Nie miałam ochoty iść na imprezę ze Szpilą, ani tym bardziej z Lucjuszem, ale czego nie robi się dla ZeroMilo. Urwę się szybko i będzie po sprawie.

– No to jesteśmy umówione – Szpila poklepała mnie po ramieniu, po czym razem ze swoją połówką udali się w stronę pierwszaków.

Gdy odeszła, Karo puściła mi wymowne spojrzenie, kręcąc przy tym lekko głową.

– Zwariowałaś. Mówię ci, zwariowałaś.

– Wiem, Karo, wiem, co chcesz powiedzieć – westchnęłam.

– Z szaleńcami nie robi się interesów – wypałała wreszcie. – To fundamentalna zasada i żadna ZeroMilo, ani nikt inny tego nie zmieni.

– Masz rację. Nie robi się – odparłam. – Ale tym razem to wygląda całkiem czysto. Bądź spokojna – uspokajałam bardziej siebie niż ją. – Pójdę, kupię i wrócę. A potem pojedziemy razem na koncert. Będzie szalowo i pięknie. Nie psuj tego.

Karo westchnęła smutno.

– Ehh, głupia. Ja się po prostu o ciebie boję. Tylko tyle – powiedziała i nie czekając na odpowiedź, weszła do klasy.

– Karo, czekaj! – zawołałam za nią. – Nie bądź taka. Czekaj!

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Myśl o koncercie wyparła ostatki snu, dominowała ponad wszystkie inne. Byłam taka szczęśliwa, że wreszcie zobaczę ZeroMilo. Już nas widziałam razem z Karo, jak jedziemy pociągiem do Tombruku. A potem wbijamy się prosto do klubu. Jeszcze mi podziękujesz, Karo. Zobacysz. Włączyłam muzykę na słuchawkach i tak przeleżałam aż do świtu.

# Rozdział 3

## *Domówka*

Czas do piątku przeszedł bardzo szybko, mignął tylko, jak migają błyski fleszy. W szkole trochę wiało nudą, taki sobie normalny rutynowy dzień. Kilka zajęć, przerw i fajrant. Karo tego dnia nie było, bo złapała wirusową infekcję. Jedyne co, to w piątki ludzie są bardziej weseli niż w każdy inny dzień, opowiadają o planach na weekend i więcej żartują. W każdym razie wyzwała się w nich coś, co sprawia, że ten dzień przechodzi łatwiej i luźniej.

Tata za to jakby wyczuwał, że coś się szykuje, bo nakładł mi trochę więcej obowiązków niż zwykle. To wyrzucić śmieci, to iść do są-

siadki, to znowu skoczyć do warzywniaka. Nie wiem, jak on to przeczuwał, ale zdecydowanie był jakiś nieswój, trochę go nosiło, że nie mógł usiedzieć w miejscu. Mama za to była nad wyraz spokojna, zupełne przeciwieństwo ojca. Nic nie mówiła, nie wtrącała się, nie zagadywała, tylko robiła w kuchni swoje. Taka wyluzowana jakby miała swój świat i zupełnie nic innego jej nie obchodziło.

Sięgnęłam na najwyższą półkę do pudełka po ciastkach. To była moja tajna skrytka, gdzie trzymałam kasę. Otworzyłam ją i odgarnęłam kilka szpargałów. Było tam wszystko, co trzeba, czyli sześć stów zaoszczędzonych z kieszonkowego. Zgarnęłam całość na wypadek, gdyby bilety były nieco droższe. Po tym zrobiłam lekki makijaż, a na odchodne spojrzałam jeszcze na duży plakat ZeroMilo, który wisiał na ścianie tuż nad moim łóżkiem. Puściłam jej oko, a zaraz potem zaśmiałam się z samej siebie.

Gdy wychodziłam z mieszkania, za sobą usłyszałam jeszcze głos taty:

– Pamiętaj. Wracasz przed dwudziestą drugą.

– Jasne – rzuciłam za siebie i już mnie tam nie było.

Na zewnątrz zaczęły spływać do mnie silniejsze emocje. Nigdy nie byłam na imprezie u Szpili, lecz sądząc po jej temperamencie, przypuszczałam, że może tam być „ostro”, szczególnie jeżeli chodzi o alkohol. Trochę się stresowałam, jak będzie i kto będzie, czy będę tam znała kogoś jeszcze. No i ten Magmus od biletów, co to za typek? Miałam nadzieję, że będzie sympatyczny. W głowie czułam mętlik, myśli wirowały i przewracały się jak w bębnie pralki. Zaczęły spływać też mniej przyjazne wątki, jak choćby te od Karo, że napytam sobie problemów. Co za problemy mogę sobie napytać? Przecież tam nikt nikogo nie będzie zabił ani poił na siłę. Próbowałam się uspokoić, z bardzo miernym skutkiem. Przyspieszyłam kroku.

Szpila mieszkała w domu jednorodzinnym niedaleko mnie. Dało się tam dojść pieszo w dziesięć minut. Jeszcze w drodze czułam się w miarę pewnie, lecz stojąc przed drzwiami wejściowymi, owładnął mną strach. Był na tyle nieprzyjemny, że nie czekając chwili, sięgnęłam do dzwonka do drzwi i nacisnęłam go dwa razy. Chciałam uciąć to uczucie i rozwiąć jak najprędzej.

– Cześć – otworzył jakiś długowłosy mężczyzna. Miał pogodny wyraz twarzy, jakby przed chwilą coś go rozbawiło. Z pomieszczenia za nim dochodziły dźwięki gitarowej muzyki.

– Jest Szpila? – wydusiłam z siebie.

– Kto?

– Szpila, znaczy się Kaśka.

– A, jasne. Wejdz – otworzył drzwi. – Jestem Beno – podał mi dłoń.

– Jaga.

Weszłam do środka.

– Jesteśmy na górze. Chodź – wskazał głową, abym poszła za nim.

Rozejrzałam się. Dom był ładny i zadbany, już na pierwszy rzut oka widać było, że należał do ludzi zamożnych. Wszystko lśniło, jakby było nowe, niedawno kupione czy doskonale zadbane. Przeszliśmy przez pusty salon i weszliśmy po masywnych drewnianych schodach na piętro. Stamtąd też dochodziła muzyka.

W dużym pokoju znajdowały się dwie kanapy i kilka krzeseł, na których siedziało jakieś dziesięć osób. Czuć było mocno dymem nikotynowym. Większość trzymała w dłoni butelki, niektórzy pociągali też papierosy. Przebiegłam

szybko po twarzach, aby wyłapać kogoś znajomego. Poznawałam kilku z maturalnej klasy, osoby z paczki Szpili. Reszty nie znałam wcale. Kilkoro ciekawskich oczu obrzuciło mnie badawczym spojrzeniem.

– O, Jagusia! – usłyszałam z boku.

Z pomieszczenia po lewej weszła Szpila. Ubrana była dość wyzywająco w krótką, czerwoną sukienkę przylegającą do ciała. Jej włosy luźno rozpuszczone i mocny, odważny makijaż nadawały jej wyraz kobiety-wampa.

Posłałam jej uśmiech i głęboko odetchnęłam. Gdzieś w środku niemal czułam jak ciężki balast stresu, nagromadzonego przez ostatnie godziny, teraz spadał mi z ramion na ziemię. Co za ulga. Nie sądziłam, że kiedykolwiek tak zareaguję na jej widok.

– Chodź. Przedstawię cię.

Złapała mnie za przedramię i poprowadziła dalej.

– To jest Biguś – mówiła Szpila. – A to Jagusia.

Podaliśmy dłonie mężczyźnie.

– Jaga. Miło mi.

Tęgi mężczyzna uściśnił mi dłoń. Miał śliskie od potu palce, aż się wzdrygnęłam nieprzyjemnie na ten dotyk. Przeszliśmy ze Szpilą dalej.



– Tutaj jest Slaj. Slaj, to Jagusia.

Ten facet wyglądał inaczej niż poprzedni. Nie facet, tylko chłopak właściwie. Na mój widok skłonił głowę i od razu uciekł wzrokiem, jakby trochę się tremował.

– Jaga – rzuciłam szybko.

– Slaj.

Szliśmy tak wzdłuż pokoju i poznawałam coraz to nowe osoby. Nie zapamiętałam tych imion czy ksywek, za dużo ich było, pamiętałam jedynie twarze. Z każdym przywitaniem przysłuchiwałam się, kiedy padnie ksywa Magmus, lecz jak do tamtej pory żadna z osób nie okazała się nim być.

Na koniec rundy zapoznawczej, usiadłam na krześle z boku. Atmosfera była bardzo luźna, ludzie gadali i żartowali. Nawet się nie zorientowałam, kiedy Szpila do ręki włożyła mi butelkę piwa. Ktoś inny chciał mnie częstować papierosem.

– Nie palę – odmówiłam.

Kilka chwil potem zjawił się przy mnie Biguś. Rozsiadł się szeroko na krześle obok i zaczął „czarowanie”.

– Nie widziałem cię tu jeszcze. Jak ci się podoba?

– Impreza daje radę. Nie jest źle.

– Też tak myślę – mówił głośno, bo ktoś podkreślił muzykę. – Czym się zajmujesz?

– Na co dzień szkoła. Chodzę do tej samej, co Kaśka – wskazałam na przechodzącą właśnie Szpilę.

– Oo, to fajnie.

– A ty co robisz?

– Prowadzę małą firmę informatyczną. No wiesz, programowanie. Teraz da się z tego wyciągnąć nawet duże pieniądze.

– Jasne.

Po tej zajawce rozmowa trochę zdechła i stała się bardziej sztuczna. On dalej pytał o różne pierdoły, ale nie chciało mi się z nim już gadać. Na niektóre pytania, bardziej prywatne, nie chciałam też odpowiadać. Wypiłam łyk z butelki, po nim drugi i trzeci, a gdy znów przechodziła Szpila, zaczęłam ją.

– Gdzie jest Magmus?

Ta poklepała mnie lekko w ramię.

– Przyjedzie, nie martw się, skarbie.

Wstałam z krzesła.

– Idę się przejść – rzuciłam do Bigusia i nie czekając na odpowiedź, przeszłam na drugą stronę salonu pod okno.

Asekuracyjnie obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że Biguś też wstaje. Na wszelki wypadek, gdyby chciał zmierzać w moją stronę, rozejrzałam się za innym rozmówcą. Wśród wielu osób gadających ze sobą zobaczyłam jednego chłopaka, który siedział sam i gapił się na kominek. Wydawał się być w miarę bezpieczny do rozmowy. Szybko podeszłam do niego i usiadłam obok.

– Hej. Ty jesteś Slam. Dobrze pamiętam?

– Slaj, nie Slam.

Roześmialiśmy się oboje. Przeczesałam szybkim gestem włosy, a gdy ruszyłam głową, duży pokój zawirował lekko, jakby go ktoś dziwnie na chwilę przekrzywił. To pewnie przez te migające światła, pomyślałam. Wzięłam solidny łyk piwa.

– Sorry. Za dużo ludzi jest tutaj. Trudno mi zapamiętać każdego – wyjaśniłam.

– Jasne. To zrozumiałe.

– Ty pewnie znasz tu wszystkich?

Popatrzył na mnie i pokręcił tylko przecząco głową.

– Ależ skąd. Jestem tu, bo tu mieszkam – wyjaśnił.

– Hehe, żartujesz, nie?

– Hehe – powtórzył za mną. – Nie.

Ta odpowiedź trochę zbiła mnie z tropu.

– To kim jesteś?

– Jestem jej bratem – wskazał na Szpilę.

– Aaaa – zamurowało mnie trochę. – Nie wiedziałam, że Kaśka ma brata.

– A, no ma. Chcąc niechcąc zaliczam wszystkie jej imprezy.

Nachylił się do mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć na ucho.

– I szczerze ci powiem, że mam ich wszystkich dość.

– No to współczuję.

– Dzięki – puścił mi serdeczne spojrzenie. – A ciebie to pierwszy raz tu widzę.

Gadaliśmy dłuższą chwilę. Slaj okazał się być sympatyczny. W każdym razie odstawał znacznie od reszty. Rozmowa na tyle się kleiła, że zaczęliśmy nawet żartować. Podobało mi się to, szczególnie gdy rozmawialiśmy pobieżnie o życiu. Przez moment miałam wrażenie, jakbyśmy się znali już od dawna, tylko długi czas nie widzieli. Gdybym miała porównać tamtejsze rozmowy do noszenia butów, to z Bigusiem to były sztywne, zbyt ciasne trampki, a gadając ze Slajem, czułam się jak w miękkich, domowych kapciach.

W głowie poczułam silniejsze huczenie. Mięśnie w tym czasie rozluźniły się jak po bardzo wysiłkowym treningu. Spojrzałam na butelkę, na etykietę. Mocne to piwo. Popatrzyłam na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza, czyli jeszcze miałam godzinę na dotarcie do domu. Mój wzrok powędrował przez pokój w poszukiwaniu Szpili, lecz nigdzie jej nie wypatrzyłam. Przeprosiłam na chwilę Słaja i wstałam. Pomieszczenie znów się poruszało i kręciło, z tym że teraz w drugą stronę. Co jest grane? Światła wzmogły miganie, jakby ktoś uporczywie bawił się włącznikami żarówek. Na chwiejących się lekko nogach przeszłam do pokoju obok, gdzie ostatnio widziałam Szpilę.

I faktycznie tam była. Obmacywała się przy ścianie z Lucjuszem. Gdy tylko dostrzegła mnie przez jego ramię, odsunęła go od siebie.

– Co jest, Jagusia? Coś potrzebujesz?

– Magmus. Gdzie on jest?

– Dzwonił. Już jedzie.

Złapałam się futryny drzwi, aby się ustabilizować.

– Muszę już iść – wyznałam. – Dasz mi jego telefon?

Szpila przybrała zamyśloną minę. Coś kalkulowała w głowie, było to widać.

– To zostaw kasę, przekażę mu. A ponie-działek w szkole dam ci bilety.

Próbując utrzymać równowagę, zrobiłam kilka kroków w jej stronę. Wyciągnęłam zwitek pieniędzy i chciałam odliczyć, lecz miałam z tym kłopot. W oczach kręciły mi się jakieś mozaiki, a kolorowe błyski migwały teraz już wściekle. Nie mogłam nad tym wszystkim za-panować, to było jak jazda szaloną karuzelą w lunaparku, w której ktoś popsuł hamulce. Zawierowanie w głowie targnęło mną w jedną stronę, aż musiałam złapać się czegoś, aby nie upaść. Ale miałam banię. Nawet nie wiem jakim sposobem i kiedy znalazłam się z powrotem przy Slaju. Powieki stawały się ciężkie i ciągle raziły mnie jakieś światła.

– Slaj. Ty jesteś inny – spojrzałam na niego.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, odstajesz od tych tutaj – poka-załam dłonią na towarzystwo.

– Dzięki, to dla mnie komplement – słowo „komplement” rozciągnęło mi się w głowie, jakby było fizycznie zrobione z gumy.

– Coś mi się dzieje – zaniepokoiłam się.

W tej samej chwili kilka osób zaczęło sprzątać na stole. Zabierało miski z chipsami i innym jedzeniem. Czyżby impreza się już kończyła? Zdziwiłam się. Przez zmęczone oczy zobaczyłam, że do pokoju weszła Szpila, niosąc coś przed sobą, jakby jakiś przezroczysty, szklany baniak z rurkami. Wyglądało to co najmniej jak jakaś aparatura.

– Imprezę czas zacząć! – zawołała, kładąc urządzenie na stole, na co kilka głosów zawyło z aprobatą.

– Co to jest?! – zapytałam Slaja.

– Nie wiesz? – zdziwił się.

Poczułam się jeszcze słabiej. Muzyka płynąca z głośników sprawiała wrażenie, jakby miała kształt unoszących się kolorowych nitek, który wpływały mi do uszu i wypływały. Chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale nie dałam już rady. Powieki zamknęły się same, a pod nimi było tyle kolorów. Jedynie w powietrzu wyczułam zapach, taki bardziej słodki, nietytoniowy. Poczułam, jak się unoszę, jak na czarodziejskim dywanie i płynę gdzieś unoszona muzyką. Ostatkiem sił otwierałam jeszcze oczy.

– Slaj, co się dzieje? – zapytałam niepewnie.

Spośród kolorów wyłowiałam jego zaniepokojone oczy. Popatrzył na mnie z troską i rzekł:

– Kaśka musiała ci coś dorzucić do piwa. Ech, cholernie głupi dowcip. Jest głupia.

„Kaśka”, „Kaśka”, „Kaśka”, w głowie dudniły mi odbicia jego głosu, jakby głos był piłką kauczukową rzuconą z impetem w małym pomieszczeniu. Zaniepokoiłam się. Chciałam się wyrwać z tego stanu, otrzeźwieć i uciec, lecz nie mogłam zrobić prawie nic.

– Gdzie jest Magmus? – zapytałam.

– Kto? – zapytał Slaj.

– Magmus. Kuzyn Kaśki.

Slaj puścił zdumione spojrzenie.

– Nie znam żadnego Magmusa – pokręcił głową. – A na pewno nie jest to nasz kuzyn.

W głowie pojawiło mi się dziesiątki pytajników. Coś je tam rysowało, jak jakiś niewidzialny rysik, kreślił je i rył twardo w myślach. Kątem oka zauważyłam, jak Szpila pali coś ze szklanej bańki. Ostatkiem sił wstałam z krzesła i zrobiłam kilka kroków w jej stronę.

– Szpila! – zawołałam na całe gardło. – Gdzie jest Magmus?

Patrzyła na mnie cała rozbawiona. Widać było, że złapała silną fazę.



– Kto to jest Magmus? – zapytała jeszcze głośniej i parsknęła śmiechem. – Znacie jakiegoś Magmusa? – wołała do ludzi obok.

– Ja... ja.. – dukałam z siebie. – Ja.. chcę bilety... – zamarłam, a po tym dodałam – na ZeroMilo.

– ZeroMilo? – Szpila znów odpowiedziała śmiechem. – Kto to jest ZeroMilo? – wyła już ze śmiechu razem z innymi. – ZeroMilo to nikt. Znacie ZeroMilo?! – rozglądała się dookoła. – ZeroMilo to ZERO! Słyszysz?! Z-E-R-O! – przeliterowała, a prawie wszyscy obecni parsknęli wraz z nią śmiechem.

Nagle poczułam, że tracę władzę w członkach. Nogi stały się wiotkie i zaczęłam unosić się gdzieś do nieba. Nie wiem nawet, czy oczy miałam otwarte, czy zamknięte, nieważne. Ostatnie, co pamiętam, to kolorowa tęcza, która eksplodowała kolorami dookoła. Z domówki to było tyle.

Lądowanie na ziemię było dość ciężkie. Nie wiem, gdzie byłam, ani co robiłam. Ocknąłam się na trawniku przed domem Szpili z głową umaczaną we własnych wymiocinach. Coś od środka mną targało jakby skurcze. Mózg zaczął

wreszcie pracować, zarządził w głowie i odpalił w końcu jak silnik starego samochodu. Po plecach przechodziły dreszcze. Pierwszą myślą było spojrzeć na zegarek. Tak bardzo bałam się, że będzie już po dwudziestej drugiej. Oby nie było, oby nie było, powtarzałam w myślach. Szybkim ruchem spojrzałam na tarczę – wskazywała czwartą rano. Kłopoty, duże kłopoty. Miałam ochotę wyc z żalu, smutku i złości, że dałam się tak łatwo puścić w maliny. Nie umiałam tego sobie wybaczyć. Nie wiem, co było w tym piwie, ale siekło mnie tak, jak nigdy w życiu. Cholerna Szpila i jej dowcipy. Jak mogła mi wykręcić taki numer, zupełnie jak dziecko.

W ustach czułam nieprzyjemną gorycz. Chciałam unieść się z ziemi i wstać, lecz był problem, bo miałam do tego za mało siły. Podniosłam tylko głowę i rozejrzałam się. W domu było już ciemno, zewsząd rozchodziła się cisza nocy, w trawie cykały tylko cicho jakieś owady. Wciągnęłam chłodne, zimne powietrze i się zakrztusiłam. Zakaszlałam cicho, wypluwając przy tym gorzką ślinę.

Wtem oślepiły mnie jakieś światła. Skąd te światła?! Czy dalej jestem na haju?! Na pewno nie. Zmrużyłam powieki, aby cokolwiek zo-

baczyć. Wreszcie skapowałam. To samochód stojący obok zapalił reflektory. Białe światło wżerało mi się w gałki oczne, kalecząc je niemal swym natężeniem i wywołując pieczenie. Przysłoniłam dłonią oczy i spróbowałam wysilić wzrok. Zobaczyłam kontur postaci, która wychodziła z auta. Podeszła do mnie i nachyliła się nade mną.

– Pamiętasz mnie? – zapytała postać.

Uniosłam jeszcze wyżej głowę, aby zobaczyć jej twarz.

– Slam?

– No, prawie dobrze. Slaj.

– Pamiętam – odpowiedziałam.

Nic nie mówiąc, pomógł mi się podnieść z trawnika.

– Masz, obetrzyj się – podał mi chusteczkę.

Pospiesznie wycierałam głowę i twarz. Było mi wstyd przed nim, że tak wyglądam i że tak się na imprezie zachowywałam. Nie wiedziałam zupełnie, co mam powiedzieć. Miałam też dużą trudność, aby spojrzeć mu w oczy. Chyba to zauważył. Dał mi kolejną chusteczkę.

– Odwiozę cię do domu – oznajmił.

Odetchnęłam głębiej. Gdy z grubsza oporządziłam twarz i posklejane włosy, wsie-

dliśmy do samochodu, on za kierownicę, a ja usiadłam z tyłu tuż za nim. Nie chciałam, by na mnie patrzył, gdy jestem w takim stanie.

W aucie nie gadaliśmy dużo. Wstyd nieprzyjemnie zalewał mnie od środka. Jedną ręką przysłoniłam nieco twarz, aby choć tak się trochę skryć, drugą sięgnęłam do kieszeni po telefon. Było źle. Siedemnaście nieodebranych rozmów od taty i załączony tryb cichy.

Gdy dojechaliśmy pod blok, odruchowo powędrowałam wzrokiem w górę. W oknie pokoju ojca paliło się światło. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że tym razem pieczenie policzka to będzie najprzyjemniejsza z kar, jakie mnie tam czekały.

– Dzięki – rzekłam i wysiadłam z samochodu.

– Jaga? – zapytał na odchodne.

– Tak?

– Tu masz mój namiar. To na wypadek, gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała – podał mi kartkę z numerem telefonu.

– Dzięki – szepnęłam, wsuwając papier w kieszeń spodni.

Odwróciłam się i krokiem skazańca udałam się w stronę domu.

## Rozdział 4

### *Coś ekstra*

Ten weekend spędziłam w domu. Inaczej zresztą być nie mogło, bo dostałam szlaban na wszystko. Ojciec, gdyby mógł, to dałby mi nawet szlaban na oddychanie. Szlabany szlabanami, lecz było jednak coś gorszego. Tamtego wieczoru, gdy silna ręka taty wymierzała mi „sprawiedliwość”, coś we mnie pękło, zepsuło się i zdechło. Czułam, że coś się łamie, jakby niewidzialny pomost między mną a nim, który gwarantował jeszcze jakieś pozory porozumienia. Teraz nie było tam już nic – przepaść. Trudno jest nazwać mi to uczucie, ale najbliższe mu było poczucie niesprawiedliwości i bra-

ku zrozumienia. To gorsze niż uderzenia, sińce, gorsze niż szlabany i przekleństwa razem wzięte. Czułam w sobie rozdarcie między tym, co chciałam, tym, co się stało, a reakcją ojca. To najbardziej boli. Gdyby tylko próbował mnie zrozumieć, zapytać chociaż i dotrzeć do źródła tego, co się stało. Dowiedziałyby się wtedy, że nie mam gdzieś ani jego, ani zaleceń, tylko czasem po prostu jak bardzo by człowiek się nie starał, to coś nie wychodzi. Dialog to chyba najbardziej potrzebne nam słowo, którego nigdy nie było i od samego początku brakowało. Następne to otwarcie się na moje potrzeby, które, uważam, są tak samo ważne jak jego. Tylko czemu ja mała, młoda i głupia to wiem, a nie on, dorosły i mądry? Ehh, dużo by tu jeszcze mówić. Temat rzeka. Nieważne.

Sobotę niemal w całości przeleżałam w łóżku. Nie chciało mi się nawet z niego ruszać. Leżałam tak i rozmyślałam o tym, co zaszło. Gdy przetrzymałam najmocniejsze wspomnienia z domówki u Szpili, w głowie zaczęły wyłaniać się te bardziej fajne, jak na przykład te ze Slajem. Całkiem w porządku ten Slaj, a do tego jest taki... hmm... przystojny. No dobra, przyznaję to wreszcie, podoba mi się ten facet. Nie ma

co się wstydzić czy nawet tremować. Ma w sobie coś, co przyciąga. Jest starszy, to prawda, ale co to jest trzy lata? Chciałabym go kiedyś jeszcze spotkać. No i to poczucie humoru, jak opowiadał o swojej pracy w ogrodnictwie, coś naprawdę niespotykanego. Albo gdy mu mówiłam o ZeroMilo, to też było dobre, jak dopytywał o to czy tamto. Taki to sobie fajny człowiek.

Jedyne, co mnie gnioło i z czym się nie umiałam zupełnie pogodzić to Szpila i ten człowiek-widmo Magmus. Jak mogła mnie tak podle zwieść? A do tego zostałam zupełnie bez kasy i co gorsza, bez biletów. Muszę ją jakoś od niej odzyskać. Żegnaj ZeroMilo, byłaś już tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Nie jest łatwo mi to powiedzieć, ale Karo miała rację, że nie robi się interesów z szajbusami. Planowałam jej o tym powiedzieć. Czemu wszyscy to niby wiedzą, a zawsze to ja zostaję jakoś magicznie na lodzie? Szkoda już gadać i nie ma co narzekać, bo mogło skończyć się jeszcze gorzej. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Od samego rana Karo zasypywała mnie wiadomościami na komunikatorze. Jak było? Jak było? I jak było? Czy jestem cała i czy u mnie dobrze? Odpisałam jej w skrócie, co zaszło i po-

prosiłam, by dziś nie dzwoniła. W tym domu ściany mają uszy, szczególnie po takich wydarzeniach jak to. Karo pokrzepiła mnie też trochę, że chrzanić bilety, że grunt, że wyszłam cało. No, cało jak cało, ofiar, trzeba przyznać, nie było, ale szambo w głowie wciąż jest, że aż się przelewa.

Dotrwałam do poniedziałku. Wreszcie mogłam wyjść z domu, co prawda tylko do szkoły, ale zawsze to coś, zawsze to ludzie i cywilizacja. Na korytarzu rozglądałam się za Szpilą, lecz nigdzie jej nie było widać.

– O, jest nasza gwiazda! – już z daleka witała mnie Karo.

– A, daj spokój – machnęłam ręką.

– Ty się ciesz, że żyjesz, dziewczyno – przyznała, a zaraz po tym odgarnęła pasmo włosów z boku mojej twarzy.

– Oj, musiało boleć – skrzywiła się, wskazując na blednącego siniaka.

– Trochę – wzruszyłam ramionami. – Ojciec się zapomniał.

– Przykro mi.

– Nie gadajmy już o tym. Powiedz lepiej, co u ciebie.



Na korytarzu pojawiła się Kinia. Gdy tylko nas zobaczyła, skierowała się w naszą stronę.

– Jasne – powiedziałam. – Nie gadajmy. Tylko ZeroMilo mi szkoda.

– Jeszcze ją kiedyś zobaczysz.

Kinia podeszła bliżej, przywitała się i chciała coś mi powiedzieć. Znów wyglądała na pełną jakichś emocji.

– Poczekaj, Kinia – odparłam i wróciłam do rozmowy z Karo. Kinia odeszła na kilka kroków.

– Chciałabym tam być, nawet nie wiesz jak.

– Wiesz, myślę, że takie marzenia są ważne, ale nie za wszelką cenę. Niektórych spraw się po prostu nie przeskoczy, choćby człowiek nie wiadomo jak chciał.

– Ehh, Karo. Czemu ty zawsze masz takie konkret odpowiedzi? Jak zwykle ci tego za zdroszczę.

– Daj spokój.

– Jesteś jak sowa, taka mądra sowa z bajki.

– Spadaj. Zawstydzasz mnie – zażartowała.

– Sama spadaj – śmiałyśmy się już obie i zdaje się, że Kinia odczytała to, jako znak do rozmowy, bo znów podeszła.

– Masz chwilę? – zapytała mnie. – Mam do ciebie sprawę.

Nie zdążyłam jeszcze odpowiedzieć, a Karo już wyczuła sytuację i chciała się od nas oddalić. Wtem z drugiego końca korytarza dobiegł nas jakiś hałas. Ktoś wołał coś o pierwszoklasistach. Nie musiałam się nawet przypatrywać, kto to był.

– Szpila – szepnęłam tylko pod nosem i zwróciłam się do Kini – Jeszcze chwilę, Kinia. Mam tu coś do załatwienia.

Tego dnia Szpila wyglądała na mocniej „podładowaną” niż zwykle. Nosiło ją i aby to stwierdzić, nie trzeba było się nawet specjalnie przypatrywać. Obok niej szedł Lucjusz, trzymając ją za rękę. Zostawiłam Karo i Kinie i ruszyłam w jej stronę.

– O, Jagusia! – wypiszczczała na mój widok.

– Cześć.

– Tęgo zachłastaś, co? – zapytała wesoło. – Nie znałam cię z tej strony.

– Oddaj mi kasę – przeszłam od razu do rzeczy.

– Kasę? – zdziwiła się. – Jaką kasę?

– Sześć stów. Miałaś załatwić bilety.

– Lucek – zwróciła się do Lucjusza. – Wiesz, o co Jagusi chodzi?

Ten pokręcił przecząco głową, robiąc równie głupią minę, co Szpila. Gdy zrozumiałam, że

tego dnia pieniędzy już nie odzyskam, w jednej chwili zaczęły zbierać się we mnie silne emocje, jakby je ktoś nagle zaczął tłoczyć we mnie pompką. Jak można tak postępować?! Nie mieściło mi się to w głowie. Emocje kumulowały się niebezpiecznie, aż wreszcie wystrzeliły, jak dobrze wstrząśnięty szampan:

– Oszustka! – krzyknęłam na całe gardło.  
– Oszuści!

Prawie wszystkie osoby na korytarzu zwróciły na nas swą uwagę. Nie dbałam jednak o to.

– Jesteście siebie warci! Dwójka oszustów!  
– wołałam. – A niech was! Nażryjcie się tą kasą.

To chyba działało, bo ich pogodne miny zaczęły zachodzić jakimś przestraczem.

– Zamknij się – rzucił Lucjusz.

– Idiotka – oburzyła się Szpila.

Coś się zaczęło dziać, bo tych dwojga w jednej chwili odwróciło się i szybkim krokiem odeszło w stronę wyjścia. Nie wiem, jak bardzo źle wyglądałam, ale po minach gapiących się na mnie osób, przypuszczałam, że bardzo źle. Poczułam tylko dłoń na swoim ramieniu. To była Karo.

– Dobrze zrobiłaś – powiedziała. – Niech wszyscy wiedzą.

Wciąż miałam w sobie wiele emocji. Od-  
dychałam szybko i głęboko, jakbym właśnie  
przebiegła długi dystans. Już miałam gdzieś  
to wszystko: i Szpilę, Lucjusza i nawet te bile-  
ty. To był ten moment, gdy przestało w środku  
gnieść, gdy się pogodziłam z tym, co się stało.  
Karo znów miała rację, że niektórych spraw,  
choćbyśmy nie wiem, jak chcieli, to nie prze-  
skoczymy.

– Jaga? – znów podeszła Kinia.

– Czego, Kinia? – rzuciłam do niej. Nie  
chciało mi się ani z nią ani z nikim innym już  
dziś gadać.

– Właściwie to nic – odparła cicho. – Chcia-  
łam ci tylko coś dać.

– Tak? – zapytałam.

Wyciągnęła z kieszeni dwa kolorowe paski  
i włożyła mi je do dłoni.

Spojrzałam na nie. W oczach mignęły mi  
tylko słowa „ATOM”, „Tombruk” i to najwięk-  
sze, napisane kolorową, brokatową czcionką:  
„ZeroMilo”.

– Mój wujek pracuje w ATOMie i mi przy-  
niósł – powiedziała Kinia. – Pomyślałam, że ci  
je dam, bo podobno lubisz ZeroMilo.

Odebrało mi mowę.

To niesamowite, że właśnie w takich chwilach, gdy chcesz coś osiągnąć i nic się nie układa, gdy wszystko pieprzy się jak tylko może, gdy robisz wszystko i stajesz na głowie, tylko po to, by odnieść sromotną porażkę, w takich właśnie chwilach pojawia się mała, słodko-głupiutka Kinia i w najniewinniejszy sposób rozwala mi system. Po prostu. „Bo podobno lubię ZeroMilo”, jak to powiedziała. To była wielka lekcja od losu, której nie zapomnę do końca życia.

# Rozdział 5

## *Plany*

Po tym, gdy w najdziwniejszy na świecie sposób stałam się posiadaczką dwóch biletów na ZeroMilo, jak grzyby po deszczu zaczęły wychodzić coraz to nowe problemy. Jakby się wszystko zawzięło przeciwko mnie i niemal chciało, bym nie pojechała. Zresztą mam wrażenie, że to już zaczęło się wcześniej, nawet przed domówką, gdy ojciec dokładał mi różnych obowiązków. Teraz sytuacja się skomplikowała bardziej, bo do pokonania miałam przede wszystkim szlabany ojca. Co prawda, od następnego tygodnia mogłam już wychodzić z domu jak inni, jednak

z powrotem miałam być godzinę wcześniej, niż zawsze.

– Jak ty to zrobisz, żeby być z powrotem przed dwudziestą pierwszą? O tej porze to koncert się dopiero będzie rozkręcał – zauważyła Karo na przerwie lekcyjnej.

Miała rację. Koncert zaczynał się o dwudziestej, ale powrotny pociąg był dopiero o dwudziestej drugiej trzydzieści, a jedzie prawie godzinę. Postanowiłam to wziąć po męsku na klatę i spróbować po przyjsciu powiedzieć prawdę, że połączenia dobrego nie było. Co będzie, to będzie, zabić mnie nie zabije, a między nami gorzej być też już nie mogło. Ja nie wiem, ale chyba tylko ja mam takich restrykcyjnych rodziców. Zazdrościłam pod tym względem Karo, że może się szlajać po mieście do której chce i jej ojciec nawet palcem na nią nie kiwnie. Tak to już jest, że jeden ma z górki, a drugi pod górkę. To w ogóle jest dziwne i śmieszne, bo i moi rodzice i rodzice Karo są tak samo odpowiedzialni i dorośli, a podejmują w tej sprawie zupełnie inne decyzje. To całkiem nie fair.

Druga sprawa to pieniądze. Po tym, jak przez Szpilę stałam się finansowym bankrutem, musiałam się trochę zadłużyć u Karo. Nie

pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Tym bardziej podziwiam jej przyjacielskie oddanie, bo u Karo się nie przelewało i sama miała z tym problem.

Jeżeli by tak odłożyć na bok problemy, to obie się bardzo cieszyłyśmy. To miała być nasza największa wspólna wyprawa, jedna z takich, co – jakby to by powiedziała Karo – dupę urywa zupełnie. Każdego dnia w szkole nakręcałyśmy się nawzajem, opowiadając sobie, jak to tam będzie, gdy pojawi się ZeroMilo, gdy będziemy krzyczeć i skakać przed sceną niczym na sprężynach. To było coś. Jak na nastoletnie, postrzelone wariatki przystało, chciałyśmy zrobić to wszystko w zwariowanym stylu i to byle najszybciej. Na ostatniej kartce zeszytu z matmy przygotowałam sobie nawet taki kalendarz z kratkami, w którym wspólnie każdego dnia skreślałyśmy datę. Było fajnie no i było na co czekać. W ostatniej kratce Karo narysowała wielką, kolorową raketę, że niby tego dnia będzie totalny odlot, będziemy odlatywać.

We mnie samej też coś się zmieniło i to na lepsze. Miałam wrażenie, jakby myśl o koncercie działała niczym opatrunek na ból kulejącej relacji z rodzicami. Z jednej strony udawałam, że to na mnie nie działa, że ojciec pogada sobie,



mama przytaknie, a po mnie to spłynie i tak też się zachowywałam. Problem jednak był taki, że jak wszyscy, tak i ja nie jestem z gumy, po której ich szambo mogłoby swobodnie spływać. Czy mnie bolało? Oczywiście, że tak. Im bardziej starałam się o tym nie myśleć, tym bardziej się to we mnie gdzieś odkładało. Teraz gdy pojawiła się perspektywa koncertu, skupiałam się niemal tylko na nim, żyłam tym, a nie żałami rodziców. Mówiąc to, kruszę może jakiś wypracowany model Jagi-twardzielki, ale ja nigdy się taką w środku nie czułam. Czasem to prawda, może się zgrywałam, że mi to wszystko zwyczajnie wisi, lecz w środku, wierzcie mi, zupełnie mi nie wisało. Jak człowieka boli, to człowieka boli i najlepsza mina czy najgrubszy puder nie sprawi, że boleć przestanie. Tak to już ze mną było, stety czy niestety.

Mijały dni i do skreślenia kolorowej rakiety zostały już tylko cztery kratki. Cztery długie i ciągnące się jak wyżuta guma dni. Zaczynał się powoli październik, który oprócz deszczu z nieba i żółtych liści, przyniósł też trochę melancholii. Sama jakoś się na tym łapałam, że więcej niż zwykle myślałam o sobie. Czasem

nie potrzebowałam nikogo, nic nie mówiąc, siadałam przy oknie i gapiłam się w niebo. Działo to niczym stan równowagi dla euforii spowodowanej zbliżającym się koncertem.

Przy jednej z takich chwil na długiej przerwie w szkole podeszła do mnie Kinia. Tego dnia była trochę inna niż zwykle, jakby coś w niej przygasło. Usiadła naprzeciw mnie na parapecie w korytarzu i podkuliła nogi pod brodę.

– Co tam widzisz? – zapytała, patrząc za szybę.

– Hmm – westchnęłam. – W sumie to nic chyba. Tak się gapię po prostu.

– Też tak lubię – przyznała. – A o czym myślisz?

– A, tak sobie rozmyślam i marzę.

Kinia spojrzała w dal za oknem gdzieś w stronę kominów dalekiej fabryki. Jej oczy stały się nieruchome jak u kogoś zamyślnego.

– Też mam marzenia – rzekła po chwili.

– Tak? – zaciekawiałam się.

– Chciałabym być ptakiem – westchnęła.

– Hmm, ciekawe.

– Są wolne – rzekła. – Jak tylko chcą, to podrywają się i lecą. Jak im się nie podoba tu to

leczą tam, a jak nie tam, to gdzie indziej. Nikt im nie mówi, co mają robić, nikt ich nie dotyka. To jest dopiero wolność.

W końcu oderwała wzrok od szyby i popatrzyła na mnie.

– A ty? Kim byś chciała być? – zapytała.

– Hmm – zastanowiłam się moment. – Chyba... – ucięłam – sobą. Tak, sobą.

– To dobrze, bo to znaczy, że lubisz siebie.

Zaskoczyła mnie tą odpowiedzią. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Czy lubię siebie? Na pewno było w tym wiele racji.

– Wiesz, Kinia. Ja po prostu nie chciałabym się zmieniać.

Rozbrzmiał sygnał dzwonka kończącego przerwę.

– Ja też nie – powiedziała Kinia, schodząc z parapetu. – Chodźmy na lekcję – rzekła i udała się w stronę klasy.

Wreszcie nadszedł piątek, dzień koncertu. W domu przed szkołą maskowałam się, jak tylko mogłam, że niby kolejny zwykły dzień, że nuda, że nic mi się nie chce. W środku jednak płonął we mnie wielki ogień, rozpałał myśli niemal do czerwoności. Wszystko od dawna już

miałam gotowe: pieniądze, bilety na koncert, na pociąg i całe ubranie. Jedyne co pozostało, to odbębnić szkołę, wrócić na obiad, a potem zmyć się z domu i pognać na rynek. Właśnie tam umówiłam się z Karo przy zabytkowej studni.

Myśli miałam monotematyczne, kręcące się jak elektrony wokół atomu, w którego środku znajdowała się sama ZeroMilo. Tak, to była dobra ilustracja mojego myślenia. Do tego ścisnęło mnie z emocji w żołądku, takie zimne dziwne uczucie. Sama nie wiem, jak przetrwałam ten dzień w szkole, tematy wszystkich lekcji odbijały się tylko ode mnie, nic nie wnikało, jakby wkoło mnie ktoś rozpostarł niewidzialne pole siłowe. Nawet gdy inni do mnie mówili, to czasem nie chwytiałam wątku i kończyło się na tym, że musiałam prosić o powtórzenie. Ostatecznie – przeżyłam.

Po powrocie do domu tata znów użył swojego szóstego zmysłu, bezbłędnie wyczuwając, że coś się szykuje. I się zaczęło: „Zrobisz zakupy?”, „Podlejesz kwiaty?”, „Pomożesz mamie?” te i inne czynności, które wykonywałam od razu i bez marudzenia. Jeszcze nawet jak już wychodziłam, ojciec jakby chciał mnie złapać,

bo zawołał, abym ogarnęła coś w łazience. Tu z pomocą przyszła mi mama, wołając z kuchni, że ona ogarnie. Uff, wreszcie opuściłam mieszkanie.

Na rynek dotarłam nawet dziesięć minut wcześniej. Dzień był do chrzanu, znaczy się zimno, lekka mżawka i sine niebo. Karo jeszcze nie było. Założyłam na głowę kaptur kurtki i nastawiłam się na czekanie. Zaraz po tym zadzwonił mój telefon.

– Koniec świata! – zawołała w słuchawce Karo – Jaga! Normalnie mówię ci, koniec!

Gdy Karo mówiła „koniec świata”, zawsze to oznaczało coś bardzo złego. Ciśnienie krwi zaczęło mi rosnać wykładniczo w górę.

– Co jest?! – zaniepokoiłam się.

– Wujek Andrzej zmarł. Właśnie przed chwilą. O, ja pierdu. Normalnie kapamantel, posprzątane.

– Co?! – nie docierało nic do mnie.

– Wujek Andrzej, brat ojca – mówiła w emocjach. – Zresztą nieważne, po prostu wujek.

– I co?

– No właśnie, co! Normalnie lipa. Rodzice zostawili mnie z babcią i pojechali do wujka do Graniewa. Dwa słowa tylko „opiekuj się bab-

cią”, wsiedli do auta i już ich nie było. Mówię ci, w domu młyn na całego.

– O, zgrozo, Karo! Co z nami? Co z koncertem?!

– Właśnie ci mówię. Ja już nawet buty miałam założone, gdy to się stało.

– O, ja nie mogę! – syknęłam. – Babcia nie da rady sama? Wrócimy przecież wieczorem.

– No co ty?! Po paraliżu? Ona ledwo żyje. Zresztą, rodzice by mi tego nie wybaczyli.

– A masz jakieś zastępstwo? Sąsiad? Ktokolwiek?

– A skąd. Sąsiedzi to by nas najlepiej stąd wysiedlili. Dobra, nieważne. Dzwonię do brata, czy by przyjechał. Oby tylko dał radę.

– To dzwoń! – rzuciłam szybko, jednocześnie spoglądając na zegarek. – Za dwadzieścia minut mamy pociąg. Dzwoń, niech brat przyjeżdża.

– Dobra. Jak będzie mógł, to nawet babcię zostawię samą w domu. Te pół godziny to chyba wytrzyma, świat się nie zawali.

– Dobra, czekam. Dzwoń już, bo czas leci. Hej.

Rozłączyłam rozmowę. W głowie mi pulsowało, a po plecach zaczęły przechodzić ciarki. Mózg w tym czasie rozpoczął analizować, co przed chwilą zaszło. A jeśli będe musiała jechać

sama? Złęklam się tej myśli. Czy pojedę? To ci dopiero wyzwanie! Takiego scenariusza nikt nie brał pod uwagę. Wszystko znów się chrzani, tak samo jak na domówce u Szpili.

Dasz radę, Karo. Musisz dać. Nie wystawiaj mnie w taki sposób. Wpatrywałam się nerwowo w ekran telefonu. Dzwon, Karo, dzwon już. Czas biegnie zupełnie na naszą niekorzyść. Serce waliło, sekundy natomiast zamieniały się w moje oddechy. Nie wytrzymałam, dzwonię. Trzy krótkie sygnały dały znać, że linia jest zajęta. Pewnie jeszcze gada z bratem. Otworzyłam komunikator. Piszę: „Masz zmiennika?! Za dziesięć minut odjeżdża pociąg”. Cisza. Nic nie pisze. Dzwonię znowu. Znów bezlitosne trzy krótkie sygnały. Dostaję SMS, że abonent numeru jest już dostępny. Biję palcem po ikonie słuchawki.

– I co?!

– Porażka! Na całej linii! Brat wyjechał do Perkolna na weekend.

Cisza w słuchawce. Do mnie już dotarło.

– Tak mi przykro. Jaga, sorry. Wybacz. Czasem tak się wszystko pierdzieli...

– Dobra – rzuciłam szybko. – Nie martw się. Lecę na pociąg. To będzie mega wyjazd, o ja pierdziu!

– Powodzenia, Jaga! Trzymam kciuki! Dasz radę...

Jeszcze coś mówiła, lecz już rozłączyłam rozmowę. Zegarek wskazywał, że mam dwie minuty. Zerwałam się do biegu.

Nie wiem, jak to się stało, ale w mieście zaliczyłam wszystkie możliwe czerwone światła. Na ostatnim już nawet nie czekałam na zielone. Odprowadziło mnie kilka klaksonów i jakiś krzyk nerwowego kierowcy. Nie miałam nawet chwili, by spojrzeć na zegarek. Liczyło się tylko jedno – zdążyć.

Na dworcu ludzi jak zwykle dużo, trzeba ich było wymijać slalomem. „Przepraszam!”, „Przepraszam!”, „Przepraszam!”. Skoczyłam po dwa stopnie po schodach na peron. Jestem! Już, już! Już, już, jestem! Zdążyłam spojrzeć jedynie przed siebie.

– O nie – tylko tyle potrafiłam wydusić, gardło zamarło.

Ostatni wagon składu bezlitośnie oddalał się od stacji. Oddalał... BEZE MNIE!

Zdyszana, spocona i cała w nerwach stałam na peronie, próbując złapać oddech. Podparłam się rękami o wpół zgięte nogi i ciągle gapiałam na



ostatek pociągu, jakbym mogła go w jakiś sposób jeszcze zatrzymać. Tak razem z pociągiem oddalała się ode mnie ZeroMilo. Miałam ochotę krzyczeć i wyć z bezradności. Tam na peronie kończyła się moja historia z koncertem. Tak, cholera, tak! Masz rację Karo, że niektórych spraw nie przeskoczmy i ani nasze bilety, ani twój brat, ani nawet twoja kolorowa rakietka, choćby nie wiem, jak odlotowa była, nie jest w stanie tego odmienić. Choć wiesz, Karo? Coś ci powiem. Ten jeden jedyny raz chciałabym, abyś nie miała racji. Chrzanię to wszystko, te całe starania. Jak ty to mówisz: „dupy po prostu nie urywa”.

Gdy pierwsze emocje się cofnęły, wyprostowałam się i rozejrzałam po peronie. Myśl, Jaga, myśl. Może coś tu się jeszcze da ugrać? Pociągów już dziś nie ma, autobusów nigdy nie było. Samochodem mnie nikt nie zawiezie. „Teleportera ze Star Treka też nie posiadasz” – szepnęłam z ironią do siebie. No po prostu, jakby nie patrzeć, to klops. Trzeba wracać do domu. Zrezygnowana odwróciłam się do schodów i wciskając dłonie w kieszenie kurtki, ruszyłam przed siebie.

Już mi się nigdzie nie spieszyło. Koncert odjechał i to w tak głupi sposób. Ogarnął

mnie smutek, że zawaliłam. Mogłam wyjść wcześniej, nie gadać tyle z Karo. Zabrakło przecież dosłownie minuty, jednych tych głupich świateł na skrzyżowaniu. Wlokłam się przez dworzec, właściwie o niczym już więcej nie chcąc myśleć. Przerzucałam obojętnie rzeczy w kieszeni, kasztan, zapałka, jakaś zmięta kartka, sreberko. Co za bajzel. Staję przy koszu, żeby to wyrzucić. Wyciągam rękę, a mój wzrok pada na wyświechtany kawałek papieru. Rozwijam go, czytam. To kartka z numerem telefonu Slaja, tego z imprezy u Szpili, co mnie odwiózł do domu. Wyrzucać czy nie? Zaraz, zaraz – „odwiózł”. Czy ja powiedziałam „odwiózł”? Przecież on ma samochód! W tej samej sekundzie do mej głowy wpadł pomysł tak szalony, że zaskoczyłam nawet samą siebie.

Zaczęłam walczyć ze sobą. Zadzwoń do niego. Jaga, zadzwoń. Może akurat by się udało. Nie masz już nic do stracenia. To Slaj, ten fajny Slaj, który tak ci się podoba. Ma samochód. Samochodem jeszcze zdążycie. Masz dwa bilety, dla siebie i dla niego. Jak nie zadzwonisz, to się nie dowiesz. Zadzwoń Jaga, zegar tyka...

Dobra, wygrałam. Jestem szalona, wiem, jestem szalona. Trzęsącymi się palcami wbijam numer z kartki. Czekam, sygnał, drugi, trzeci.

– Halo? – głos w słuchawce.

– Yyyyyy, cześć – duszę z siebie. – Yyyy... to ja, Jaga.

– Jaga? – pyta głos.

– Tak, Jaga z imprezy u Szpili, znaczy się u Kaśki.

W słuchawce zapada cisza. Moment niepewności.

– Aaa, Jaga. Tak, pamiętam.

– Dzwonię, bo chciałam zapytać... – znowu dukam – .. czy dałbyś się zaprosić na koncert?

– Ooo, fajnie – głos zabrzmiał serdecznie. – Ciekawa propozycja.

– Serio?! – nie dowierzałam temu, co mówi.

– Tak, możemy się umówić. Fajnie nam się gadało. Co to za koncert?

– ZeroMilo – rzucam szybko.

– Ooo – słyhać zaskoczenie. – To ta słynna ZeroMilo. Świetnie. Opowiadałaś mi o niej.

O rety. On o tym nawet pamięta, że mu o niej opowiadałam. Poczułam się bardzo miło.

– A kiedy to?

– Dziś – cedzę niepewnie.

Cisza w słuchawce.

– Za dwie godziny – dowalam do końca.

Znowu cisza. Brzmi, jakby się rozłączył. Sygnału, co prawda nie słychać, ale jego też nie. Nie wiem, co robić. Przebieram palcami.

– Slaj? – pytam niepewnie.

– Nooo – odzywa się. – Dobra. Zgoda.

Szok. Zgodził się. Zgodził. On właśnie się zgodził!

– Ale ja jeszcze jestem na mieście. Podjadę do ciebie, tylko powiedz o której.

– Ja też jestem na mieście. Na dworcu kolejowym.

– O, sztos. Jestem niedaleko dworca. Bądź przy głównym wejściu, zaraz podjadę.

Nie dowierzałam temu, co się stało. Chciało mi się piszczeć i szczypać w przedramię. Właśnie załatwiłam sobie randkę ze Slajem na koncercie ZeroMilo. Czy mogło być coś piękniejszego?! To brzmiało jak bajka, jedna z tych najpiękniejszych. Karo! Sorry, nie masz racji. Nie tym razem. Dziś dupę urywa i moją i twoją.

# Rozdział 6

## *ZeroMilo*

**M**knęliśmy szybko autostradą. Wciąż nie mogłam do końca uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. To był szalony wieczór, naprawdę szalony. Siedziałam obok niego z przodu, choć tak najchętniej to chciałam siedzieć z tyłu. Wtedy mogłabym na niego patrzeć, przyglądać się mu, jego twarzy. A tak, każde odwrócenie w jego stronę wywoływało u mnie wstydlivy rumieniec, bo był za blisko i też się odwracał. Ale nie szkodzi.

Coś ładnie pachniało w środku w samochodzie, taki przyjemny, męski zapach. Założyłabym się, że to jego dezodorant.

– Dzięki, że dałeś się zaprosić – zagadnęłam.

– Ja też się cieszę. Choć przyznam ci się, że przez telefon to mnie zaskoczyłaś. Pytam się kiedy, a ty, że dziś – zaśmiał się. – Normalnie zastrzeżyłaś mnie tą odpowiedzią.

– Pewnie miałeś coś w planie?

– Tak, ale właściwie to nie. Dziś Kaśka znów robi domówkę. Cieszę się, że mnie tam nie będzie.

– Ooo, domówka – poczułam, jak schodziemy na niewygodny dla mnie temat. Nie chciałam wracać z nim już do tamtych wspomnień. Na samą myśl ciągle jeszcze czułam wstyd.

– Tak, domówka. Oni tam są trochę walnięci, no wiesz, o co chodzi.

– Tak.

– No właśnie. Zresztą sama byłaś ich ofiarą. Nie mów tego Kaśce, ale ona bardzo przesadza. Ja jej nieraz mówiłem, z tym że ona mnie nie słucha, ma mnie gdzieś. Kiedyś się jeszcze boleśnie przejedzie, choć szczerze mówiąc, nie życzę jej tego.

– Jasne, nie powiem.

– Gdy się pojawiłaś u nas w domu, zauważyłem, że jesteś „świeża”. Chyba za dużo naglądałem się rutyniarzy.

– A ty? Też jesteś „świeży”?

– Ja się trzymam od dragów z daleka. To bagno, a jak to się mówi, chodzenie po bagnach wciąga.

Pasował mi taki dialog ze Slajem. Znów czułam się jak w mięciutkich, domowych kapciach. Do tego mogłam dowiedzieć się czegoś więcej o nim, a nie ukrywam, że byłam ciekawa.

– Co mi powiesz o ZeroMilo? – zapytał. – Zrobisz mi jakieś intro przed koncertem?

– Hmm – udałam zastanowienie.

Poczułam, jakby tym pytaniem odkorkował we mnie wielką beczkę czegoś pod ciśnieniem. To był mój temat, trafił jak marzenie.

– Zawsze powtarzam, że ZeroMilo jest jak napój w puszcze, że jak otworzysz, to musisz już wypić do końca. Ja ją „otwarłam” w wieku lat szesnastu i tak nie mogę się jej nasycić aż do tej pory. Wokalistka, gitarzystka, rockmanka, a przede wszystkim autorka tekstów, tak bardzo życiowych, że gdy słuchasz, to jakby śpiewała je o tobie i tylko do ciebie...

Jak zaczęłam opowiadać, to opowiadałam mu przez prawie całą drogę. Mówię wam, buzia mi się nie zamykała. Slaj słuchał z zaciekawieniem, szczególnie dopytywał, gdy odnosiłam

ZeroMilo do swojego życia. Może to śmieszne, ale w ten sposób więcej gadałam o sobie, Karo i o naszych przygodach, niż o samej artystce. Wybacz ZeroMilo, ale Slaj to fajny facet, a do tego wygląda, że jest mnie ciekawy prawie tak samo, jak ciekawy jest ciebie.

Dopiero po godzinie, gdy dojeżdżaliśmy do Tombruka, przymknęłam się trochę. Temat co prawda był dopiero lekko napoczęty, ale nie chciałam go na początek tak sobą zarzucać.

– Powiedz, co lubisz? – zapytałam.

– Co lubię? Hmm, dobre pytanie. Chyba tak zwyczajnie: trochę motoryzacji, muzyki, jakaś książka do poduchy. Nie mam nic szczególnego. No, może poza tym, że lubię, jak ludzie są szczęśliwi. Tak, to lubię bardzo.

– Co masz na myśli? – zaciekawiłam się.

– No wiesz, jak w ich sercach jest spokój, tutaj – wskazała dłonią na swą klatkę piersiową.

– Jak się cieszą. Wiem, że to głupie, ale..

– Nie. To nie jest głupie – przerwałam.

W głowie pomyślałam, że to jest piękne. Tego mu jednak nie odważyłam się powiedzieć. Ale to prawda, bo nigdy takiej odpowiedzi nie słyszałam od nikogo. A to w sumie takie proste, fundamentalne, po prostu – ludzkie szczęście.



– Dzięki – odparł i dodał. – Zaraz będzie wi-  
dać klub. Już dojeżdżamy.

Po prawej stronie zza innych budynków za-  
czął wyłaniać się wielki świecący na czerwono  
neon z napisem „ATOM”. Sam widok z zewnątrz  
już robił wrażenie, że aż poczułam dreszcz pod-  
niecenia w żołądku. Budynek był wielki, a do  
tego masywny, niczym betonowy kloc. Przed  
klubem było dużo światła i jasno jak w dzień.  
Gdy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłam wiele  
osób stojących na zewnątrz. Tłoczyli się w gru-  
bej i długiej kolejce do wejścia. Spojrzałam na  
zegarek, dochodziła dziewiętnasta.

– Zaraz będą pewnie wpuszczać – powie-  
dział Slaj. – Jest jakiś zespół na support?

– Początkowo miał być, ale nie ma. Będzie  
sto procent ZeroMilo.

Okazało się, że przy klubie nie ma wolnych  
miejsc parkingowych. Skręciliśmy więc w bocz-  
ną ulicę. Tam też nie było, więc w kolejną i ko-  
lejną, aż w końcu wypatrzyliśmy jedno miejsce.

– No to jesteście – uśmiechnął się Slaj.

Na zewnątrz było chłodno, aż przeleciał  
mnie zimny dreszcz. Zapięłam kurtkę pod szy-  
ją i założyłam plecak. Slaj zamknął samochód  
i udaliśmy się ulicami w stronę klubu.

Duże miasta to nie to samo co moje. Tu było zdecydowanie więcej ludzi na ulicach, gwaro i bardzo dużo świateł. To miasto żyło pomimo wieczoru. Rozglądałam się po wielkich kolorowych wystawach sklepowych. Czasem mijaliśmy jakieś grupy, ktoś nie raz coś krzyknął czy zaklął, ludzie się bawili, a przynajmniej wyglądali na zadowolonych.

– Znasz Tombruk? – zapytał Slaj.

Pokręciłam przecząco głową. Zatrzymał się, a ja razem z nim.

– OK, to posłuchaj. To ważne – rzekł.

– Tak?

– Ja znam to miasto. Znam też takie koncerty, wiem, że na nich różnie bywa i można się zgubić. Posłuchaj, spójrz w górę na ten wieżowiec. Łatwo go widać z każdej części miasta. Gdyby stało się coś, że byśmy się rozłączyli, to spotkamy się tuż pod nim, przy tamtym wejściu – wskazał palcem.

– Jasne. Dzięki – rzekłam. – Fajnie, że o tym pomyślałeś.

– Jedno niech czeka na drugie. Jakby co, to się dzwoniemy.

– Dobra.

Przed klubem panowała luźna atmosfera, zdecydowanie przeważały osoby młode. Gdzie by nie spojrzeć, to widać było akcenty ZeroMilo, czy to na tyłach kurtek kolorowe zdjęcia, naszytka czy napisy. Był nawet ktoś z flagą ZeroMilo przewieszoną na plecach. Obok nas w kolejce stały też dziewczyny z naszywkami na spodniach i na plecakach. Podobało mi się, niecodzienny widok, to wszystko robiło wrażenie. Nigdy nie spotkałam w jednym miejscu tyłu fanów ZeroMilo. Musieli się tu zjechać z całego województwa, a może nawet z innych części kraju.

Slaj wyglądał na zadowolonego. Gdy na mnie patrzył, puszczał mi słodkie uśmiechy. Odpowiadałam na nie również uśmiechem, zerkałam co chwilę w stronę wejścia i nic nie mówiłam. Byłam taka szczęśliwa, że jesteśmy tu razem, że aż go chciałam mocno uściskać, tak samo jak czasem w chwilach szczęścia euforycznie przytulam Karo. Nie miałam jednak na to odwagi. Może kiedyś go tak uściskam, może kiedyś się na to odważę. Bardzo bym tego chciała.

Po kilku minutach podniosła się wrzawa i wiele osób zaczęło bić brawo.

– O, chyba otwierają – powiedział Slaj.

I faktycznie otworzyli. Ludzie wchodzili do środka, a kolejka zaczęła przesuwać się do przodu. Klimat był iście bombowy. Niektórzy, co bardziej nakręcenii koncertem, zaczepiali się przyjaźnie nawzajem, uśmiechali i pytali o naprawdę różne rzeczy:

– Skąd przyjechaliście? – to padało najczęściej.

– Widzieliście już ZeroMilo? – pytał ktoś.

– Kto mi pożyczyci długopis? – mówił inny.

– Czy to prawda, że nieletnich nie wpuszczają?

W każdym z tych głosów dało się usłyszeć nutę ekscytacji. Wszyscy to na swój sposób przeżywali.

Kilkanaście minut potem byliśmy już w klubie. Jeszcze sprawdzenie biletów, kontrola bezpieczeństwa i weszliśmy szczęśliwie do środka. Wewnątrz w większości panował mrok, światła było zupełne minimum, atmosfera mroczna i klimatyczna. Na podłogach i schodach paliły się długie rzędy świateł, podobnie jak to jest w kinie. Ze wszystkiego w klubie najbardziej okazała wyglądała scena.

– Robi wrażenie – westchnęłam, gdy tylko ją zobaczyłam. To tutaj wystąpisz, ZeroMilo, tu

cię zobaczę. Już za kilkanaście minut, za moment, za chwilę. Nie mogę się tego doczekać.

Z głośników leciała gitarowa muzyka. Robił się już duży tłok, ludzi zaczęło przybywać i ciągle wchodzili nowi. Ktoś niechcący popchnął mnie z tyłu, ktoś zahaczył ramieniem. Jedni wołali, aby się przesunąć, inni, by nie blokować wejścia.

Wtem poczułam na dłoni dotyk, Slaj złapał mnie za rękę.

– Chodź – powiedział. – Trzymaj się mnie. Przejdziemy tam dalej – wskazał głową na drugą stronę sali.

Przeleciał mnie dreszcz od dłoni, przez ramię do serca. Było bardzo przyjemnie móc czuć jego dotyk, gdy mnie trzymał i prowadził. Ścisnęłam mocniej go za rękę. On jeszcze coś mówił, coś pokazywał, lecz w gwarze trudno było mi usłyszeć.

– Tam jest o wiele lepszy widok na scenę – usłyszałam, gdy przepychaliśmy się między ludźmi.

Wreszcie dotarliśmy na drugi koniec sali. Zajęliśmy miejsce przy dużym filarze, a Slaj puścił mi rękę.

– Gorąco – przyznał.

Ja też czułam się rozpalona. Ściągnęłam kurtkę, zwinęłam i schowałam do plecaka. Slaj nie miał gdzie dać swojej, więc tak samo spakowałam jego nakrycie. Na dłoni wciąż czułam przyjemność jego dotyku, jakby zostawił na niej niewidzialne, magiczne iskierki. Wiem, że to głupie, ale stojąc tam przy nim w tłoku, w hałasach, w duszności, w rykach głośnych gitar czułam się tak bardzo dobrze, jakby zaraz miało spełnić się moje marzenie, a właściwie dwa wielkie, życiowe marzenia. Nie byłam pewna, czy starczy mi na to, co chciałam, odwagi. Chwila wahania, niech się dzieje co chce, niech świat się kończy i wali. Ten moment wyczekiwania był jak noc sylwestrowa, gdy wszyscy wpatrują się w zegar i czekają na wybicie północy. Zdecydowałam się, właśnie tu i teraz, w tej chwili. Sięgnęłam ręką po jego dłoń i zacisnęłam ją w swojej. Zawstydzona nieco, zamknęłam oczy. Nie wiem, co myślał, co czuł i ani jaką wtedy miał minę. Wiem za to, że mnie zaakceptował. To było COŚ. To coś, o czym marzą nastolatki, o czym marzą też pewnie dorośli i o czym śpiewa ZeroMilo. Slaj nazywał to ludzkim szczęściem, ten spokój, w środku gdzie bije serce. To jest

właśnie to, co stojąc tam przy nim, czułam. Magiczne, przyjemne uczucie – iskierki.

Staliśmy tak i żadne z nas nic nie mówiło. Nie wiem, ile czasu minęło, może dwie minuty, a może pięć. To nie było ważne. Otworzyłam oczy dopiero, gdy ktoś zawołał ze sceny:

– Hej, hej! Jak się macie?!

– Yeeeeeehhh! – Setki gardeł potwierdziło wielkim wrzaskiem.

– Gotowi?! – wołała osoba ze sceny, długowłosy facet, może organizator.

– Yeeeeeehhh! – znów wołał tłum.

– To odliczamy! – krzyknął w mikrofon i w tej samej chwili w całym klubie zgasło światło.

– Dziesięć, dziewięć...! – facet zaczął wołać, a tłum od razu podchwycił – osiem, siedem, sześć...!!!

Otworzyłam szerzej oczy i gapiłam się w ciemność na scenę.

– Pięć, cztery, trzy!!!

Zacisnęłam mocniej rękę Slaja.

– Dwa, jeden, ZeeeerrrrrooooMilo!!!

Rozbłysły reflektory i w tej samej sekundzie uderzył ostry ryk gitar, tak głośny, że prawie poczułam, jak wbija mnie w podłogę. Wow!

To był czad! Dym, dużo dymu, a pośród niego pojawiają się muzycy. Rozglądam się po scenie, wypatruję i co?! I jest!! Jest!! Wbiega na sam środek. Wymarzona i piękna ZeroMilo! Moc! Tłum piszczy i wrzeszczy.

– Sie ma Tombruk!!! – woła ZeroMilo.

Istny szał. Las rąk wyciąga się w górę w stronę sceny.

– Gotowi?! – pyta tłumu, słycać pisk setek gardeł. – No to czadu!!!

Wygląda iście szałowo. Ubrana w odlotową sukienkę, tak odlotową, że aż trudno ją opisać. Na nogach ma ciasne, czarne spodnie. Zakłada gitarę i się zaczyna. Poznaje utwór, to „Nocne łązy”. Wokalistka śpiewa, a wraz z nią śpiewa cały klub.

Tak właśnie spełniają się marzenia. Za mną jest Slaj, przede mną ZeroMilo. Nie mogłam wymarzyć sobie tego lepiej. Podskakuję wraz z innymi, pręzę się, skaczę i śpiewam. Muzyka przepływa przeze mnie i niemal razi jak elektryczny ładunek. Niczego więcej nie było mi trzeba.

Nie. Było jeszcze coś, co bardzo chciałam zrobić. Musiałam, no po prostu musiałam. Wyciągam telefon i przyciągam do siebie Slaja. On



łapie, co chcę, nie muszę nic więcej wyjaśniać. Celuję aparatem, aby objąć nas i scenę. Ledwo, ledwo... udaje się wreszcie. W kadrze jest ZeroMilo! Tłum faluje, potrąca, że omal upuszczam telefon. Uff, trzymam go. Jeszcze stukam szybko dwa słowa: „Szkoda, że cię tu nie ma, Karo. Uściski” i wysyłam fotkę. Patrzę to w telefon, to na scenę. Karo coś pisze. Przychodzi odpowiedź: „O ja pierduuuu. Aaauuu. Szczęściara!!!”.

– Slaj! – z radości obejmuję go za szyję i mocno przytulam. Zrobiłam to, wreszcie się odważyłam go objąć.

Ludzie wyginają się i skaczą. Euforia rozlewa się wszędzie po sali. Są też tacy niesieni przez tłum na rękach, przekazywani jedni drugim. O, ja nie mogę! Ja muszę, normalnie, po prostu muszę. Zawsze widziałam to w telewizji, w relacjach z koncertów, lecz teraz pierwszy raz na żywo.

– Slaj. Chcę to zrobić – wrzeszczę mu do ucha. – Proszę cię. Pomóż – pokazuję, o co chodzi.

– Na pewno?! – krzyczy do mnie i się uśmiecha. – Na pewno chcesz?!

– Na pewno!

Zaraz potem podsadza mnie w górę, a ludzie łapią mnie na ręce.

– Czarna noc, ja i ty, moja różo, skocz... i płyn... – śpiewa ZeroMilo, a ja, niesiona tłumem płynę.

# Rozdział 7

## *Sygnaty*

**W**iele rąk poniosło mnie gdzieś na całkiem inną stronę sali. Upadłam na podłogę, między ludzi. Trochę się złąkłam, że mnie tłum straszuje, lecz od razu ktoś pomógł i podniósł mnie do pionu. Rozejrzałam się, gdzie jestem i gdzie jest Slaj. Wśród setek głów nigdzie go nie było.

Rozglądałam się wszędzie, przepchałam przez tłum w to miejsce, gdzie byliśmy przy filarze. Tam jednak stał już ktoś inny. Ech, pewnie poszedłeś mnie szukać tak samo jak ja ciebie. No, trudno. Znajdę cię potem – odpuściłam sobie. Spotkamy się po koncercie, westchnęłam, a po tym skupiłam się już tylko na ZeroMilo.

Godzinę później skończył się koncert i wyszłam z klubu. Slaja nadal nigdzie nie było. W uszach aż gniotła cisza i takie dziwne głuche uczucie. To zdaje się przez te decybele z koncertu, że nawet blisko przejeżdżające samochody brzmiały bardzo cicho. Rozlewał się we mnie łądunek wrażeń, mieszanka wielkich, różnorodnych emocji. Wśród nich, jak nabożny obrazek, w centralnym miejscu postać ZeroMilo. Była naprawdę czadowa, jak zresztą zawsze. Ach, będzie co opowiadać Karo. Oczami wyobraźni już widziałam jej duże oczy i to, gdy mówi, że dupę po prostu urywa w poprzek. Nie mogłam się już tego doczekać.

Było zimno i wietrznie, a do tego zaczynało kropić. Myślenie zaczęło mi się przełączać z koncertu na tu i teraz, na miejsce, gdzie byłam i ciemną noc nad głową. Bez trudu odnalazłam wieżowiec i wejście, przy którym miałam czekać. Podeszłam tam i przysiadłam na niewielkim murku. Był czas, aby spojrzeć w telefon. Gdy go wyciągnęłam, pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy to tata. Nieodebranych było dziesięć połączeń. Szybkie rzut oka na zegarek oznajmił mi, że dochodziła dwudziesta druga. Chciałam do niego zadzwonić i choć trochę uspokoić, aby

nie zamartwiał się znowu na amen. Ale nie, najpierw Slaj. Przebiegłam wzrokiem po liście połączeń, lecz za pierwszym razem go nie znalazłam. Gdzie jesteś Slaj, gdzie się schowałeś?

– Cześć, mała – usłyszałam głos.

Podniosłam głowę, aby zobaczyć kto to, ale nawet bez tego byłam pewna, że to nie Slaj. Przy mnie stało dwóch obcych facetów. Jeden wysoki z niewielkim zarostem miał sylwetkę sportowca. Drugi niższy o głowę i krępy, o zaczepnym spojrzeniu, ubrany był w przyciasną kurtkę bejsbolówkę. Co jak co, ale ci dwaj już na pierwszy rzut oka nie wbudzali zaufania.

– Idziesz z nami, mała? Wybieramy się na imprezę – powiedział ten w bejsbolówce.

O kurcze, zdaje się, że zaczynają się kłopoty. Szybkim ruchem schowałam telefon.

– Dzięki. Nie idę – rzuciłam cicho, mając nadzieję, że to wystarczy.

Nie wystarczyło. Wyższy z nich był bardziej zuchwały, nachylił się nade mną i spojrzał mi z bliska w oczy.

– Patrz, Bolek, lala się boi – zaśmiał się głupio i zaleciało mocnym alkoholem.

O fuck, pijani. Nie jest dobrze, Jaga, nie jest dobrze. Zaczęłam nerwowo rozglądać się

w lewo i prawo, czy przechodzi ktoś, kto, jakby co, mógłby mi pomóc. Drugą stroną ulicy szło kilka pojedynczych osób, ale nie zauważyłam nikogo konkretnego.

– No, bo to jeszcze jest gówniara – stwierdził ten w bejsbolówce. – A gówniary tak mają, że się takich gości jak my boją.

Duże kłopoty. Myśl, Jaga, szybko. Trzeba coś zrobić. Slaj, przyjdź już, proszę. Potrzeba tu ciebie, jak nie wiem co.

– Dajcie mi spokój – wydusiłam z siebie. – Czekaam na kogoś.

– Ooo, lala na kogoś czeka – zawołał wysoki. – Jak dasz buzi, to cię puścimy.

Slaj. Slaj. Slaj! Kłopoty! Stukałam nerwowo opuszkami palców o murek. W jednej chwili zaczęłam się pocić. Nie wiem, czy to zbieg przypadków czy telepatia, ale w tej samej chwili usłyszałam głos Slaja:

– Hej, hej, panowie.

Wszyscy spojrzeliśmy w prawo, skąd głos dochodził. Ufff, w ostatniej chwili. Slaj! To ci dopiero ulga. Pojawił się prawie jak superbohater. Jesteś już! I to w ostatniej chwili! Miałam ochotę uściskać go ze szczęścia i gdyby nie obecność tych typów, na pewno bym to zrobiła.

Podchodził na luzie, jakby szedł do kumpli. Jeszcze dwa kroki, jeden i był już przy nas. Wyglądał spokojnie, wyluzowany, jak gdyby sytuacja nie robiła na nim zupełnie wrażenia.

– Widzę, że pilnujecie mi moją dziewczynę – oznajmił. – Dzięki za pomoc. Dalej sam popilnuję.

Miny typów trochę zbaraniały, a co najmniej wyglądało, że nie spodziewali się takiej odpowiedzi. Krępy chciał coś mu odpowiedzieć, lecz ubiegł go Slaj:

– My już musimy lecieć – powiedział i dał mi sygnał głową, że się zbieramy.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Zeskoczyłam szybko z murka i sięgnęłam po plecak.

– Ty chcesz, to idź. Lala zostaje – rozkazał wysoki, a ten w bejsbolówce złapał mnie za ramię.

Następne wydarzenia podziały się bardzo szybko. Zaczęłam się szarpać, chciałam się uwolnić.

– Proszę mnie puścić! – syknęłam i w końcu mu się wyrwałam. Auu, zabolalo. Slaj błyskawicznie wskoczył między nas.

– Eeej, panowie – rzucił nerwowo. – Nie szukamy kłopotów. Dajcie nam spokój.

W tej samej chwili doskoczył do nas ten wysoki.

– Widzisz, Bolek. Mamy tu szeryfa! – zawołał. – Jak mówię, że lala zostaje, to kurwa zostaje.

Sytuacja wymykała się spod kontroli. Slaj już nie czekał na nic, złapał mnie za rękę i już nawet nie musiał mówić, że się ulatniamy. To był ten moment, że odwrócił się do mnie i stracił z oczu tamtych. Gdy wrócił do nich wzrokiem, krępy już się zamachnął i huknął go w twarz. Słysząc było charakterystyczny klask ciała. Slaj!!! Slaj!!! Uważaj! O Boże!

To był ułamek chwili, gdy wszystko się podziało. Slaj zachwiał się mocno na nogach. Widać było, że chciał się zasłonić, lecz w tej samej chwili sięgnął go silny cios wysokiego.

Zaczęłam wrzeszczeć, jak tylko mogłam:

– Zostawcie go! Zostawcie! – lecz było za późno.

Grad pięści i ciosów sypał się na Slaja. Przy kolejnym trafieniu poleciał na chodnik.

– Zostawcie! Zostawcie! – krzyczałam na całe gardło, lecz tamci się nawet nie oglądali.

– Co mu robicie?! Zostawcie!!! – wrzeszczałam już wściekle, a oni ciągle go bili, pomimo tego, że już leżał.



Nieliczni przechodnie nie reagowali. Nikt nie chciał się mieszać.

– Pomocy!!! Ludzie!!! Pomocyyyy!!!

Chwilę potem klęczałam przy Slaju tam na chodniku pod wieżowcem. Bydlaki dały spokój i odeszły szybko, nawet szybciej niż się pojawiły.

– Slaj?! – złapałam go za sweter – Otwórz oczy. Slaj.

Nie dawał żadnego znaku z siebie. Z prawej brwi sączyła się krew.

– Mój Boże – szepnęłam. – Co ci zrobili – pogłaskałam go w policzek. – Obudź się, Slaj. Ocknij się, proszę.

Łzy same leciały ze mnie, lecz co tam łzy, nie ocierałam ich nawet. To wszystko się nie liczyło. Pierwsza myśl to wezwać pomoc. Byłam tak przerażona, że nawet nie potrafiłam zadzwonić na pogotowie. Palce mi się trzęsły jak oszalałe, zniekształcone cyfry skakały przed oczami, nie mogłam ich dojrzeć przez łzy. Otarłam powieki, w końcu się udało, wystukałam numer i zadzwoniłam.

Zabrali go kilka minut potem. Stałam na tej samej ulicy pod wieżowcem i patrzyłam, jak z dźwiękiem syreny odjeżdża pogotowie. Nie

miałam słów, myśli grzęzły w głowie. Jedno co czułam, to było mi przykro. Tak cholernie, okropnie przykro, jak chyba nigdy wcześniej w życiu. Przepraszam Slaj, przepraszam cię tak mocno. Gdyby nie ja, to by się nie wydarzyło.

Czy tak ma się skończyć ta historia? Nie, nie wierzę w to wszystko. Tak się nie kończą takie przygody. Gdzie happy end? Gdzie te piękne, kolorowe zakończenia, gdzie ludzie się cieszą i czują na koniec. Przyzwyczaj się, Jaga, to wita dorosłość. Osiemnaście lat zobowiązuje. Nawet ZeroMilo nie śpiewa o cukiereczkach, znasz to, wiesz to na pamięć. Nie. Gównno. To jak sen, koszmar zupełny. Obudź mnie Slaj. Powiedz „Wstawaj Jaga”, a potem znów złap mnie za rękę. Iskierki, małe iskierki na dłoni. „Obudź się, Jaga”. „Już dobrze”, powiedz, „Już wszystko dobrze”.

Jednak nie było dobrze. Nie wiedziałam zupełnie, co robić dalej. Deszcz już nie kropił, rozpadał się całkiem. Próbowałam zebrać myśli do kupy. Jak to mówił lekarz z pogotowia? Przypominałam sobie. Aha, że zabierają go do szpitala na ulicy Mickiewicza. Tylko gdzie do cholery jest ta Mickiewicza? Wyciągnęłam z kieszeni telefon. Przy ikonie słuchawki nieodebranych

rozmów mignęła mi tylko cyfra dwanaście. Nie teraz, tata, nie teraz, błagam. Szybki rzut oka na mapę, gdzie jestem i gdzie jest ta Mickiewicza. Otarłam powieki, by lepiej widzieć. Strzałka nawigacji pokazała, że to całkiem blisko, trzy przecznice od miejsca, gdzie stałam. Slaj, idę. Już idę do ciebie. Tylko się trzymaj. Proszę cię, trzymaj się. Zarzuciłam plecak na ramiona i ruszyłam przed siebie.

Żeby tylko nic mu nie było, żeby to się skończyło dobrze – powtarzałam w kółko myślach jak jakąś mantrę. Nie rozglądałam się, wzrok wbiłam w chodnik, a głowę skryłam głęboko w kapturze kurtki. Ulice już całkiem pustoszały, czasem mijały mnie jakieś głośne grupki osób, przemieszczających się pewnie od pubu do pubu. Nikt nic nie pytał, po prostu przechodzili. Trochę przeliczyłam się, że blisko jest Mickiewicza, bo Tombruk to duże miasto i trzeba odległości mnożyć przez dwa. Przecznice dłużyły się na tyle, że miałam wrażenie, iż przeszłam ich już dziesięć, gdy tymczasem minęły dwie.

Dotarłam wreszcie. W szpitalu ludzi było dużo, zważywszy nawet na późną porę. Przemykali korytarzem, co poniektórzy zajmowali

miejsca na krzeselkach. Jasnych świateł było tam więcej nawet niż pod klubem, światło jarzeniówek rozlewało się wszędzie. Wyglądało to na tzw. ostry dyżur. Przebiegłam wzrokiem po ścianie. „IZBA PRZYJĘĆ” – poinformowała mnie tabliczka informacyjna. Minęłam ją i poszłam dalej do dużego holu, gdzie znajdowało się stanowisko recepcji. Nie czekając na nic, podeszłam do okienka.

– Dobry wieczór. Przepraszam – zagadnęłam osobę po drugiej stronie szyby. – Przed chwilą przywieziono tutaj chłopaka.

Kobieta w zielonym uniformie spojrzała obojętnie, po czym rzekła:

– Dobry wieczór. Słucham.

– Chłopak po pobiciu. Nieprzytomny – próbowałam wyjaśnić.

– Jego nazwisko? – zapytała kobieta.

Hmm, to było bardzo trudne dla mnie pytanie. Jak Slaj miał na nazwisko? Próbowałam się usilnie skupić, lecz w tamtej chwili i okolicznościach nie było to łatwe. Slaj, jak ty masz na nazwisko? Jak Szpila na nazwisko miała? Szpila to zawsze była po prostu Szpila albo Kaśka, myślałam szybko, lecz nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

- Nie wiem - w końcu rzuciłam niepewnie.

- A kim pani jest? - zapytała. - Udzielamy informacji jedynie bliskim.

- Jego dziewczyną.

- Jest pani dziewczyną pacjenta i nie wie pani, jak ma na nazwisko?

Zmieszałam się tym pytaniem. To było głupie, ale nie wiedziałam.

- A imię chociaż pani zna? - wyczułam w tym pytaniu lekką ironię.

Szlag jasny. To prawda, nie znałam nawet imienia. Było mi potwornie głupio. Co robić dalej? Co odpowiedzieć? Gapiłam się na kobietę w okienku, zagrała niezręczna cisza i nic w końcu nie odpowiedziałam. Do oczu znów napłynęły mi łzy, teraz to po prostu z samej bezradności.

- Przepraszam - szepnęłam pod nosem, odwróciłam się i odeszłam od okienka.

Nie wiem, jak bardzo źle wyglądałam, ale musiało być źle, bo usłyszałam za sobą:

- Tak, przywieziono takiego mężczyznę. Na tę chwilę nic więcej nie wiem. Proszę usiąść i poczekać.

Uff, odetchnęłam. To było jak błysk światła w ciemnym tunelu, że jeszcze coś mogło

tu być dobrze. Odwróciłam się i podziękowałam.

Po tym zajęłam miejsce najbliżej recepcji, tak aby móc w każdej chwili podejść i jeszcze coś dopytać. Gdzie jesteś, Slaj? Nerwowo rozglądałam się w obydwie strony korytarza, jakbym go zaraz miała wypatrzeć. Co się z tobą teraz dzieje? Zmęczone powieki piekły nieprzyjemnie, lecz oczy pozostawały wciąż czujne, gotowe. Wędrowałam wzrokiem do każdego, kto tylko pojawiał się w korytarzu.

Po pewnym czasie skapowałam, że najważniejsze są windy. To przez nie wychodziło najwięcej osób. Trzy krótkie sygnały dźwiękowe oznajmiające, że nadjeżdża kabina, stały się dla mnie jak syrena alarmowa, znak ostrzegawczy. Plum, plum, plum. Znów się rozległo. Chwila napięcia, wyczekiwania. Drzwi się otwarły. Nie, nie ma Slaja. Winda odjeżdża, oddycham głęboko i opuszczam głowę. I znowu plum, plum, plum. Podrywam głowę. I tak w koło, aż do zmęczenia.

W międzyczasie wyciągnęłam telefon. Liczba nieodebranych rozmów wzrosła do szesnastu. Dobra, tata, dzwonię do ciebie. W obecnym stanie nawet najgorsza zjebka od niego nie mo-

gła sprawić, bym czuła się gorzej. Wykręciłam numer.

– No, wreszcie! – odebrał niemal od razu.

Spodziewałam się serii bluzgów, kar i grożenia. Zaskoczył mnie za to, bo padło tylko nerwowe:

– Gdzie jesteś?

– Tato, przepraszam – zdecydowałam się na szczerą. – Jestem w szpitalu.

– O, Boże – rzucił do słuchawki. – Mów, co się stało?!

– Nic mi nie jest. Coś się stało mojemu... koledze.

Przez krótki moment myślałam, że się zmartwi i chociaż zapyta, o co chodzi. Takie zwykłe ludzkie pytania „Jaki kolega?”, „Co mu się stało?” i czy potrzebujemy pomocy. Tak postępują normalnie ludzie, co nie? Już nawet nie mówię, że najbliższa rodzina. Czy ja naprawdę wymagam niemożliwego?! Zamiast tego w słuchawce padło tylko:

– Wiesz, która godzina?! Masz wracać do domu! Ale już.

– Tato...

– Bez dyskusji. Za pół godziny cię widzę w domu.

- Ale, tato...

- Co, tato?! Co, tato?! Nie śpimy po nocach, nerwy tracimy, zamartwiam się z mamą o ciebie! Co ty sobie wyobrażasz. Po nocach po szpitalach się...

Nie wytrzymałam i wyłączyłam rozmowę. Miałam dość, dość już chyba wszystkiego. A mam cię gdzieś i twoje zamartwianie! Nie śpicie? To nie śpijcie. Nie pomagasz, to chociaż nie utrudniaj. Jestem dorosła, nie jestem już małą dziewczynką. Czy to takie trudne do zrozumienia? Tu się dzieje tragedia, a dla ciebie jest ważne, żebym była na czas. Nie, nie dbasz o mnie, obudź się wreszcie, dbasz tylko o siebie. A zresztą... nieważne. Żałuję, że zadzwoniłam.

Na sąsiednim krześle ktoś zostawił kolorową serwetkę. Złapałam ją nerwowo i obejrzałam. Na niej nadrukowane były twarze uśmiechniętej pary a pod nimi slogan firmowy: „*Bądź pozytywny. Pozytyw zmienia świat na lepsze, tak samo jak nasze produkty*”. O, ja pierdziele. Bądź pozytywny. No tak, bądź pozytywna, Jaga. Aaaaaaaa! Czy jeszcze coś może być tu gorzej? Czy da się to wszystko jakoś bardziej rozpieprzyć?! Plum, plum, plum. Przyjeżdża winda. Nie ma Slaja. Mam dość, totalnie dość.



Spędziłam tak dobrych kilka godzin, setki momentów, setki plumów-plumów, gdy podrywałam się z krzesła z oczami wypełnionymi nadzieją. To była długa, cholernie męcząca noc, a czas włókł się, jakby był zaczarowany. Za niedługo miało już świtać. Znów plum, plum, plum. Te sygnały zapamiętałam już chyba na zawsze. Wryły się boleśnie w głowę, jakby ktoś je tam czymś ostrym wydrapał. Tym razem jednak jest inaczej, bo z windy wyjeżdża łóżko z kimś przykrytym białym prześcieradłem. Prowadzi je dwóch pielęgniarzy.

– Szkoda faceta – mówi jeden do drugiego, a przynajmniej wydawało mi się, że to usłyszałam.

Zmartwiałam. Nie byłam pewna, czy faktycznie tak powiedział, czy to tylko moje zmęczenie mnie myli. Popatrzałam po łóżku i aż mnie zatchnęło. Osoba pod prześcieradłem była mniej więcej postawy Slaja. O, mój Boże! Czy to możliwe?! Czy to jest on?! Nie dowierzałam. Poczułam, jak w jednej sekundzie oczy znów robią mi się mokre. Aż przytknęłam dłoń do ust z wrażenia. Niech ktoś coś powie. To jakiś sen. Niech mnie uszczypnie czy nawet walnie w gębę, byle się tylko obudzić. Lękliwie spojrzałam na kobietę w recepcji, z nadzieją, że

zaprzeczy, że coś mi powie. Już prawie podrywam się z miejsca... już wstaję, gdy...

– Czemu płaczesz? – usłyszałam z boku spokojny głos. Znajomy głos, bardzo znajomy!

– Slaj!!!

Stał przede mną, cały i żywy. Zgłupiałam już całkiem. Skąd i jak się tam wziął?! Nie miałam pojęcia. Ale to on! Ten sam Slaj, mój Slaj! Żywy! Nie żaden duch, ani żaden anioł. Prawdziwy Slaj z krwi i kości.

– Jesteś. Żyjesz – rzuciłam mu się na szyję.

Na głowie i przedramieniu miał opatrunek. Stał tak, jakby nigdy nic.

– Tak, żyję – objął mnie mocno. – Cieszę się, że jesteś, Jaga.

– Ja też się cieszę. Cholernie cieszę. Tak bardzo się martwiłam.

– Dzięki, że czekałaś.

Puściłam go i spojrzałam na opatrunki. Nie zdążyłam nawet zapytać.

– Prześwietlili mnie na wszystkie sposoby – wyjaśnił. – Na szczęście to nic poważnego, nic nie jest uszkodzone – uspokajał mnie. – Poobiiali mnie tylko, dranie.

Gapiłam się na niego, nie kryjąc wzruszenia.

– Też się cieszę, Jaga – wyznał. – Chcieli mnie tu trzymać jeszcze na obserwacji, bo takie podobno mają procedury, ale mi się nie chciało. Wypisałem się na własne żądanie.

Emocje miały mnie rozsadzić, ale tym razem te dobre, szczęśliwe emocje, o jakich Slaj mówił, że są oznaką szczęścia. No wiecie, te blisko serca, co dają radość i spokój. I co? I jest happy end, taki że dupę urywa i wzdłuż i w poprzek. Nie dbałam już o nic innego, trzymałam go mocno za rękę i znów sypały się moje iskierki.

# Rozdział 8

## *Cukiereczki*

Gdy wyjeżdżaliśmy z Tombruka, zaczęło już świtać. Znów siedziałam na siedzeniu pasażera z przodu, ale tym razem było inaczej i nie czułam już rumieńców. Obróciłam się tylko na moment do tyłu, by jeszcze raz zobaczyć panoramę miasta, tego miasta, gdzie wydarzyły się nasze przygody. Żegnaj Tombruku, nie zapomnę cię na pewno. Od teraz będzie mi się już zawsze z przygodami kojarzyć.

Przez początek trasy jechaliśmy w milczeniu. Każde z nas chyba miało już trochę dość nagłych wydarzeń i potrzebowało się odrobiny wyciszyć. Taki chwilowy przecinek między

gadaniem a gadaniem. Nie przeszkadzało mi to zupełnie. Jedno tylko mnie gniołło tam w środku, taka pewna myśl powracająca jak natrętny komar. Próbowałam o niej nie myśleć, lecz nie dawała za wygraną. Przy którymś razie już nie wytrzymałam:

– Slaj?

– Tak? – zapytał.

– Jak ty masz w końcu na imię?

– Hehe – zaśmiał się. – Robert. A czemu pytasz?

– No bo wiesz... – zawstydziło mnie to pytanie. – No bo dobrze jest takie rzeczy wiedzieć – ściemniłam. Nie chciałam mu mówić o wydarzeniach w szpitalu.

– A nazwisko? – poszłam za ciosem. – Jak masz na nazwisko?

– Slaj.

– Slaj?! – zrobiłam duże oczy.

– No – przyznał spokojnie. – Po prostu Slaj. Robert Slaj.

O, szlag. Zaśmiałam się w myślach sama z siebie. No, nie. Po prostu „Robert Slaj”.

– Nie będziesz miał kłopotów przez ten cały nasz wyjazd? – zapytałam. – No wiesz, praca, rodzina?

– Nie, nie sędzę. Dziś jest sobota, mam wolne – rzekł. – A co do rodziny, to Kaśka się mną mało interesuje. A rodzice pół życia spędzają w delegacjach.

– O, fajnie masz – przyznałam i nawet trochę pozazdrościłam. – Też bym tak chciała.

– Żeby co? Żeby się tobą nikt nie interesował?

– Nie, nie o to chodzi – machnęłam ręką w powietrzu. – Chodzi tylko o swobodę, bo obecnie to się duszę, że tak powiem. Rodzice chcą mi aplikować „szczęście” dożylnie, na siłę, bo tak w tabletkach sama z siebie go nie przełknę.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Czasem się trafią tacy rodzice.

– No, trafiają – westchnęłam.

– Tacy, co chcą formować dzieci jakby były z gliny – kontynuował Slaj. – Ja jestem zdania, że rodzic powinien pomagać, być przede wszystkim pomocą, by dziecko wyrosło na samego siebie, a nie na ich wymarzony twór z gliny. Ludzie to nie posągi, żeby ich formować.

– To jest właśnie to – przyznałam – że nasze „chcienia” się rozjeżdżają. Oni co innego, ja co innego. Biegniemy w innych kierunkach.

Slaj spojrział na mnie i pokiwał głową.

– Czasem jeszcze można spróbować się dogadać. No, ale to już chyba zależy od charakterów i tego, czy strony są otwarte na dialog, czy nie.

– Właśnie – przyznałam. – Niedawno też o tym myślałam, znaczy się o dialogu. Że u mnie go nigdy nie było i co gorsza, nie ma perspektyw – rzekłam i posmutniałam.

– Nie martw się – lekko trącił mnie łokciem. – Jeszcze pewnie parę lat i się wyprowadzisz, staniesz na własne nogi.

Gadaliśmy tak resztę drogi na różne tematy, czasem życiowe a czasem po prostu żartowaliśmy. Zachowywaliśmy się, jakby się nic złego nie stało, jakbyśmy wracali z fajnej, sielankowej wycieczki. Było też coś pisanego między wierszami, taka mowa gestów, uśmiechów i westchnień. Sama nie wiem, jak to właściwie nazwać, ale to coś, jak przyprawy do gotującej się zupy, które są drobne i których prawie nie widać, a jednak są ważne i bez nich nic by nie wyszło. To zdaje się taka magia, która sprawiała, że Slaj nie był tylko zwykłym Slajem, a ja nie byłam dla niego tylko Jagą. Coś zaskoczyło, kliknęło między nami, jak ze sterty tysięcy elementów odnajduje się dwa pasujące do siebie puzzle. To właśnie

sprawiło, że sypały się iskierki i że przy sercu robiło się ciepło, a nawet, że droga minęła tak szybko, jakbyśmy ledwo co odjechali.

Gdy podjechaliśmy pod mój blok, dochodziło już wpół do ósmej rano. Szczerze wam powiem – było tak dobrze, iż zupełnie nie chciało mi się ruszać z auta i najchętniej bym stamtąd się nie ruszała. Słońce zalewało przednią szybę, było ciepło i przyjemnie, jakby to był środek lata, a nie jesień.

– Dzięki, Jaga – powiedział.

Spojrzałam na niego niezrozumiale miną pytającą, za co on mi dziękuje.

– No, za koncert dzięki – wyjaśnił. – Że mnie zaprosiłaś.

– No, co ty. Daj spokój. To ja dzięki, że się zgodziłeś.

– Wiesz, co?

– Co?

– Fajna jesteś – powiedział tak po prostu.

Do mnie wrócił rumieniec. Na pewno się mocno zarumieniłam.

– Fajna z ciebie dziewczyna – dodał.

Nie odpowiedziałam, bo co mogę odpowiedzieć na taki komplement? Na takie zdania się nie odpowiada. Tu kończy się moja teoria o tym,



jak można się w takim momencie zachować. Dalej działają już tylko zmysły. Czy było coś, co chciałam wtedy zrobić? Tak, oczywiście, że było. Nachyliłam się nieznacznie do niego i on też się nachylił.

– Slaj... – szepnęłam tylko i się pocałowaliśmy. To był właśnie Slaj. Ten mega facet, mój chłopak, marzenie. Objęłam go za szyję i całowałam.

Jeżeli miałabym zapamiętać jeden fragment życia, a resztę puścić w niepamięć, to wybrałabym właśnie tę chwilę, ten moment. A iskry? Co z nimi? To już nie iskry były, to wybuchały fajerwerki.

Gdy zaraz potem wysiadłam z auta i szłam w stronę domu, zawołał jeszcze do mnie przez otwartą szybę:

– Jaga!

Odwróciłam się i zobaczyłam, że się uśmiechał.

– Jak ty w końcu masz na imię? – zapytał.

Zastrzelił mnie tym pytaniem, zupełnie zastrzelił.

– Jagoda – odparłam z uśmiechem, a zaraz dodałam. – A czemu pytasz?

Śmialiśmy się już oboje. Machnęłam do niego ręką i zobaczyłam, jak odjeżdża.

## Rozdział 9

### *Koniec*

Jeszcze nie miałam takiego weekendu jak ten. Czułam się, jakbym przybyła z innej planety z powrotem na Ziemię. Inny krajobraz, powietrze i grawitacja. Lądowanie jak zwykle było twarde, a jakże, bo tata mi nie odpuścił, lecz wokoło mnie rozpościerało się jak gdyby pole siłowe, które skutecznie chroniło mnie przed ojcem z jego zjebkami. Zupełnie jakbym się znajdowała w bezpiecznej bańce, w której nie mógł mnie sięgnąć. Przyglądałam mu się, jak się złości i gorączkuje, a myślami byłam daleko stąd, na małej, kosmicznej planetce o nazwie Slaj.

Zawrócił mi w głowie ten facet. Nie mogłam już skupić się na niczym innym, bo był ze mną wszędzie, w niemal wszystkich myślach. Slaj na śniadanie, Slaj przy sprzątaniu, na obiad Slaj czy Slaj pod prysznicem. Tata coś mówi, dokazuje mama, a ja niby ich słyszę, ale nie słyszę, rozmyślałam tylko i przywołuję wspomnienia.

Od samego rana Karo bombardowała mnie wiadomościami, przychodziły seriami, jakby strzelała nimi z karabinu maszynowego. Odpowiadałam także ciężkim „ogniem” i próbowałam odpowiedzieć na wszystkie pytania. W jej odpowiedziach dominowały emotikony opadniętej szczęki i buźki z wybałuszonymi oczami. Bawiła mnie ta jej ciekawość i podziw.

W Slaja długo nie mogła uwierzyć i gdybym wtedy na koncercie nie przesłała jej naszej fotki, to pewnie byłoby to dla niej nieprawdopodobne aż do tej pory. I w sumie to jej się nie dziwię, bo jak to brzmi – jadę sama na koncert, a wracam z chłopakiem. Takie rzeczy się zdarzają, ale nie nam, nie mi, może tym bardziej przebojowym, co umieją zagadać i szybko złączyć kontakt.

Pod wieczór zastanawiałam się trochę nad tym wszystkim, co zaszło i stwierdziłam, że

weszłam w tą dorosłość na jakimś turbo-doładowaniu, jakbym zaliczyła w grze jakiś trudny poziom. Byłam zadowolona i na swój sposób dumna z siebie, że nie zawiodłam, że po prostu dałam radę, bo gdybym jednak coś zawałiła, długo bym sobie tego nie darowała.

W poniedziałek przed lekcjami zobaczyłam Karo. Szła do mnie szybko z wyciągniętymi do mnie rękami.

– Ach ty, Jaga, nasza szczęściaro! – przywitała mnie wesoło i ciepło. – Niech cię uściskam i pogratuluję.

– Daj spokój – machnęłam ręką. – Nie rób scen – zażartowałam.

Czas do dzwonka przesiedziałyśmy razem przy klasie, gadając jedna przez drugą, jak dwie nakręcone katarynki. Było nam fajnie i miałam możliwość opowiedzieć więcej szczegółów.

Gdy wreszcie zaczął się polski, pani Jędrowska powiedziała, że zaplanowanego sprawdzianu w przyszłym tygodniu nie będzie, bo wypadł jej pilny wyjazd i nie da tego dnia rady. Posypało się po klasie liczne „Hura!”. Wygląda na to, że coś odblokowałam, że szczęścia sypią się jak z rękawa.

Zaraz potem do klasy ktoś zapukał i drzwi się otworzyły. Do środka wszedł dyrektor w towarzystwie policjanta. O ile dyrektor nie robił w szkole wrażenia, to policjant już owszem. Wysoki mężczyzna w ciemnoniebieskim mundurze z czarną teczką w ręce. W klasie od razu się uciszyło, ludzie szeptali do siebie krótkie komentarze.

Dyrektor się nachylił i coś powiedział pani Jędremskiej, kilka cichych zdań, po których ta mocno spoważniała. Dopytała go równie cicho, coś sobie wyjaśniali. Następnie pani wstała i powiedziała do nas:

– Kochani. Mam bardzo smutną wiadomość do przekazania...

Wszyscy gapili się na nauczycielkę i słuchali, co nam teraz powie. Mi już coś nie pasowało od początku lekcji. Przebiegłam po klasie wzrokiem i zatrzymałam się na jednym pustym miejscu w rogu sali, gdzie teraz nikt nie siedział. O mój Boże – pomyślałam tylko.

– ... Kinga Stefańska nie żyje – dokończyła. Tylko nie to! Kinia!!!

To był cholernie ciężki dzień. Tuliłam się ciągle do Karo i cicho płakałam, tak samo jak

kiedyś na moim ramieniu płakała Kinia. Nie mogłam jej sobie darować! Ja, najlepsza jej koleżanka, ta od tajemnic i od sekretów. Ta, do której się gada i gada, i jest tak dobrze i fajnie. Tego jednego, wielkiego sekretu nie zdążyłam od niej wysłuchać. Nie mogę. Po prostu nie mogę. Kinia. Okropnie mi przykro. Przepraszam. Tak bardzo przepraszam.

Byłam jedyną osobą w tej klasie, która mogła coś zrobić, która mogła ją uratować. Byłam tak blisko niej, jak nikt inny i tak cholernie to spieprzyłam. Miałam wszystko, co trzeba, serce na dłoni mi podawała. Wyślizgnęła mi się z rąk, jak delikatny, szklany przedmiot, nie zła-pałam jej i poleciała. Po prostu się wyślizgnęła... Mój Boże.

Nie, Kinia. To wszystko nieprawda. Nie jestem twoją koleżanką i nigdy nie byłam! Przyjaciele tak zwyczajnie są, ich się na siłę nie przyszywa. Przepraszam, Kiniu. Przepraszam cię za to. To się nie powinno wydarzyć. Nie mogę się z tym pogodzić. I chyba już nigdy się nie pogodzę.

# Rozdział 10

## *Nauka*

To wszystko jest tak potwornie niesprawiedliwe i boli, że jedni jadą na koncert, dobrze się bawią, a drudzy kończą życie skokiem z wieżowca. Tyle już się wydarzyło od mojej osiemnastki, choć to zaledwie kilka tygodni. To było jak szalony rollercoaster, raz wspina się w górę, raz szybko w dół i tak w kółko aż do zrzygania. Już mi bokiem wychodziła ta cała dorosłość, choć dopiero ledwo ją napoczęłam. Tamtego dnia, gdy odeszła Kinia, we mnie też coś odeszło, jakbym uśmierciła ważną część siebie, raz na zawsze, bezpowrotnie. ZeroMilo mówiła, że takie eta-

py to jak puszczanie papierowych statków na wodzie. Tak też odpłynął na wodzie ten jeden, w który zapakowałam siebie z dzieciństwa. Czas dorosnąć, Jaga. Żyjesz na planecie, na której umierają ludzie, nie zmarnuj życia, nie zmarnuj siebie.

Z tego wszystkiego już się nauczyłam, że dorosłość zaczyna się od paradoksu, bo im bardziej w nią wchodzisz, tym staje się jeszcze trudniejsza. Masz pod górę, to będziesz miała więcej. Brakuje ci, to ci dołożą. Nie brzmi to może zachęcająco, ale pomimo wszystko myślę, że warto iść do przodu, bo bywa tu też fajnie, jak choćby wtedy gdy sypią się iskierki, czy gdy Karo mówi, że jest tak pięknie, że dupę urywa. Przed sobą wciąż miałam Paryż, wyprawę stopem i schronisko dla zwierząt. Slaja już sobie tu załatwiłam. Czy mi się to wszystko uda? Nie wiem. Wiem za to, że chciałabym to wszystko przejść i to jak najprędzej.

Z rodzicami wciąż się nie dogaduję. Cytując mądrość Karo „niektórych spraw nie przesko-  
czymy, choćbyśmy nie wiem, jak się starali”. Slaj ma rację, że za niedługo się wyprowadzę, może nawet tuż po maturze, gdy zaczną się studia. Na pewno będzie nam lepiej, gdy będziemy



się z rodzicami odwiedzać od czasu do czasu. Zawsze to moi rodzice.

Gdy następnego dnia po przyjeździe ze szkoły tata powiedział mi, że coś do mnie z poczty przyszło, spojrzałam ciekawie na zieloną kopertę leżącą na stole w pokoju. Rozerwałam ją z boku i otworzyłam. W środku była jedynie kolorowa pocztówka z wizerunkiem ptaka w locie z rozpostartymi szeroko skrzydłami. Unosił się i szybował nad górskim pasmem. Odwróciłam ją na drugą stronę i zobaczyłam krótki napis ręcznie napisany znany mi charakterem pisma.

*„Dzięki za wszystko, Jaga. Byłaś dla mnie wszystkim najlepszym w tej szkole. Przepraszam Cię, że tak wyszło. Uściski. Kinia”.*

Usiadłam i się rozpłakałam. To takie chwile, gdy nie wiesz co powiedzieć, bo nie ma słów, które mogłoby wyrazić, to co czujesz. Nie mogłam sobie tego wszystkiego wybaczyć.

Kinia stała się w końcu swym wymarzonego ptakiem, poszybowała daleko do nieba. Mam nadzieję, że będziesz tam szczęśliwa,

szczęśliwsza niż byłaś tutaj. Jak ty to mówiłaś? Że ptaki są wolne i nikt ich nie dotyka. Leć, Kiniu, leć. Tam, gdzie tylko chcesz. Już ci nikt nie będzie dokuczać. Jesteś wolna.

Kilka lat później jeszcze szerzej poznałam cel dorastania. Nie wiem, czy kiedyś widziałeś, jak ptaki uczą się latać. To bardzo ważny etap ich życia, egzamin, po którym stają się dorosłe. Pierwszy ich lot, pierwsze wyjście z gniazda jest decydujące, bo gdy się w tej chwili opadania nie nauczą, to spadną i roztrzaskają się o ziemię.

Ten start w dorosłość okazał się być jak taka nauka latania. Jedno podejście, aby się nauczyć, jeden jedyny lot z gniazda, by rozłożyć skrzydła i lecieć. To jedno życie. Wiek lat osiemnastu to trudny czas, bo właśnie wtedy człowiek staje się na tyle duży, żeby opuścić gniazdo. Jego pierwszy lot, który musi być udany. Inaczej spadnie i zginie. Kini się nie udało. Wielu innym też. To cholernie przykre, wiem. Nadzieja jest jednak w tym taka, że choć młodym ptakom nie można pomóc, gdy się nie nauczą, to z ludźmi jest na szczęście inaczej. Dlatego proszę cię, bądź czujny na siebie i innych,

szczególnie tych, którzy swój lot mają jeszcze przed sobą. Życzę ci tego, byś nauczył się latać. Bo potrzebę życia masz zapisaną w sobie, jak młode ptaki instynkt latania. Ściskam cię mocno, drogi czytelniku. Dzięki, że jesteś. Żyj i bądź szczęśliwy.

Jaga

## Spis treści

Rozdział 1	
Trwanie.....	5
Rozdział 2	
Szkoła .....	18
Rozdział 3	
Domówka.....	28
Rozdział 4	
Coś ekstra .....	45
Rozdział 5	
Plany .....	54
Rozdział 6	
ZeroMilo .....	69
Rozdział 7	
Sygnały .....	83
Rozdział 8	
Cukiereczki .....	100
Rozdział 9	
Koniec.....	106
Rozdział 10	
Nauka.....	111